Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 3 (1791) • 17–23 stycznia 2025

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

CZERWONA HOŁOTA NIE LĘKA SIĘ SIERPA I MŁOTA

ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
9 770867 223508 03

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl ba820e3b55

WOJNA DOMOWA

Do Warszawy przybył z niezapowiedzianą gospodarską wizytą prezydent Zełenski. Jego wspólna konferencja prasowa z Donaldem Tuskiem natrętnie przywodziła na myśl scenę z kultowej komedii romantycznej „To właśnie miłość", kiedy to brytyjski premier stawia się amerykańskiemu prezydentowi, bo się wkurwił, że POTUS przystawiał się do jego ulubionej hostessy. Kipiąca niechęć między Zełenskim i Tuskiem nie ma zapewne tak prostej i uczciwej motywacji – ale jest równie słabo zawoalowana.

Chcę to bardzo wyraźnie podkreślić: że nie będzie tak, jak w przeszłości, to znaczy nasze relacje, nasza przyjaźń będą zbudowane na prawdziwych argumentach i będziemy potrafili także egzekwować – i wy, i my – nasze interesy wtedy, kiedy to będzie potrzebne. Każdy musi umieć zadbać o swoje interesy i będziemy pomocni Ukrainie, ale będziemy także pilnować swoich narodowych interesów i jest to oczywiste dla obu stron – ogłosił Tusk. W odpowiedzi Zełenski przypomniał, że *wcześniej, jak Rosja przychodziła na Ukrainę, to wojska rosyjskie szły dalej, dlatego droga pomocy Ukrainie jest drogą do wolności całej Europy*. O Wołyniu Zełenski miał do powiedzenia tyle, że *powinniśmy w naszych stosunkach iść do przodu i patrzeć do przodu*. Tusk dodał twardo: *Nie pozwolę, aby w Polsce wykorzystywano tę trudną, dramatyczną historię w jakichś politycznych grach*. A jak ma pan zamiar to zrobić, panie premierze?

Oficjalnie zaczęła się kampania wyborcza. Na starcie nie przyniosła dobrych wiadomości dla obecnej władzy. W sondażu Opinie24 Trzaskowski przez święta stracił 9 proc., choć nadal ma 7,5 pkt. przewagi nad Nawrockim. Z kolei według United Surveys kandydat PO traci tylko 2 punty procentowe, ale jego przewaga wynosi zaledwie 5 proc. Czynownicy PO trzymają twarz i tłumaczą, że w zasadzie to dobrze. *Pamiętam styczeń 2015 r. – bardzo wysokie notowania prezydenta Komorowskiego – i uważam, że nie ma nic lepszego niż na cztery miesiące przed wyborami mobilizacja, przekonanie, że nic nie jest jeszcze ustalone i prezydentura jest efektem bardzo ciężkiej kampanii wyborczej i walki o każdy głos* – tokował z jasnym czołem Tomasz Siemoniak. Zawsze nas frapuje ta idea *ciężkiej pracy w kampanii wyborczej* – która sprowadza się do schodzenia podeszew i ściskania rąk. A może by ktoś tak coś o programie powiedział?

Na tym nie koniec mądrości ministra Siemoniaka. Pytany przez red. Piaseckiego, jak to możliwe, że po 13 miesiącach rządzenia gabinet Tuska ma notowania tak złe jak gabinet Morawieckiego po przegranych wyborach w listopadzie 2023 – Siemoniak odpowiedział rezolutnie, że *trzeba lepiej komunikować to, co robimy,* i *dostarczać rzetelnych informacji*, bo *często to, co widzimy w mediach, kompletnie nie odpowiada rzeczywistości*. Motyw: „jesteśmy tacy zajebiści, tylko ludzie o tym nie wiedzą" pojawiał się także w roku 2015, kiedy urzędujący prezydent Komorowski przerżnął wybory z nikomu nieznanym (gdzie te czasy) Dudą. Któryś z tuzów PO, zapytany wówczas o źródła klęski, ogłosił, że kampania za mało mówiła o zasługach prezydenta dla polskiej wolności. Dziesięć lat minęło, a propaganda sukcesu trzyma się świetnie. Towarzysz Gierek byłby dumny.

Karol Nawrocki udał się na pielgrzymkę na Jasną Górę wraz z innymi kibolami. W auli ojca Korodeckiego (to ponoć ważne, że nie w kaplicy głównej) zrobił sobie wiec wyborczy, który przebił się do mediów po tym, jak pielgrzymi zaczęli skandować znane zawołanie miłości bliźniego: *Raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę*. Indagowany w tej kwestii kandydat ogłosił, że hasło *ma swoje historyczne tradycje* i *odnosi się do systemu komunistycznego, który jest odpowiedzialny za śmierć 100 mln ludzi od roku 1917 i który, jak wiemy, w różnych częściach świata funkcjonuje do dnia dzisiejszego*. Tak sobie myślimy, że jak lewacy skandują: *Faszyści i burżuje, wasz koniec się szykuje* – to potem nie opowiadają, że to była grupa rekonstrukcyjna hiszpańskiej wojny domowej 1936–39. Chłop to powinien być chłop, a nie trok od kaleson, panie Nawrocki.

Rząd RP przyjął uchwałę, w której napisał, że wyjątkowo 27 stycznia nie będziemy przestrzegali prawa międzynarodowego, bo 80 lat wcześniej Armia Czerwona wyzwoliła obóz koncentracyjny Auschwitz, więc ścigany przez MTK zbrodniarz wojenny może czuć się w naszej ojczyźnie *wolny i bezpieczny*. Armia Czerwona, zaskakująco, nie została wspomniana w uchwale. Przypomniała ją natomiast kandydatka Lewicy na prezydenta. *Jeśli zgodzimy się na to, żeby zapewnić bezpieczeństwo Netanjahu z okazji rocznicy Auschwitz, to dlaczego nie zaprosić również Władimira Putina?* – zapytała Biejat i dodała: *W końcu wojska radzieckie wyzwalały Auschwitz*. Rozumiemy, że miała to być złośliwość pod adresem rządu, ale i tak szacun za odwagę

Parę dni po tym, jak Rada Ministrów RP wydała akt prawny o niearesztowaniu osoby ściganej międzynarodowym listem gończym w związku z podejrzeniem o popełnienie zbrodni ludobójstwa, rząd postanowił odwrócić uwagę publiczną, publikując raport zespołu zajmującego się nieprawidłowościami w ściganiu przekrętów i nielegalnych demonstracji przez prokuraturę za czasów Ziobry. Ironia rządowi wyraźnie umknęła – co akurat nas nie dziwi, bo tam nikt nie ma poczucia humoru. Raport stwierdza, że za Ziobry prokuratura działała na polityczne zlecenie – co jest, powiedzmy, mało zaskakujące. Bardziej zaskoczyła nas metoda badania tych faktów. Na zadane przez pisowskiego dziennikarza pytanie, czy w trakcie prac nad raportem jego negatywni bohaterowie mieli szansę na odniesienie się do postawionych zarzutów, padła odpowiedź: *Nie taka była systematyka i metodyka badania tych spraw*.

Niezastąpiony magister inżynier Wieczorek został zastąpiony na stanowisku ministra nauki przez genseka Kulaska, który ma doktorat. Jak tak dalej pójdzie, to już w 2027 r. partia Czarzastego obsadzi na tym stanowisku jakiegoś prawdziwego profesora – pod warunkiem że prezydent Trzaskowski da uprzednio komuś z partyjnych czynowników tytuł profesorski. Gdyby NL miała sięgnąć do zaplecza intelektualnego SLD i wysunąć na stanowisko ministra nauki kogoś, kto miałby posłuch w świecie nauki – to dawno już by to zrobiła. Lepiej jednak zastąpić partyjnego masażystę (od rozmasowywania konfliktów wywołanych przez Czarzastego) partyjnym gensekiem. Bo w końcu tak wielu zasłużonych, tak mało stołków.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

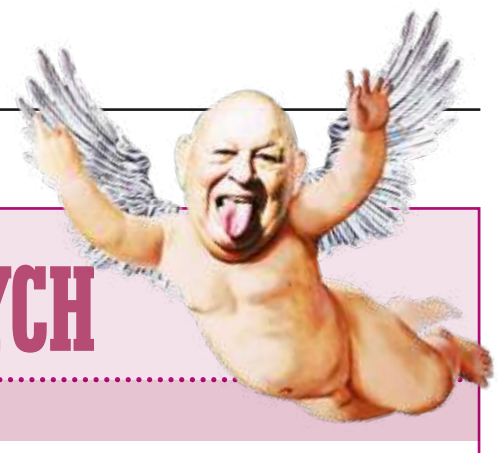

Styczeń 2013 r.

Świętego Edwarda

Kaczyński płakał, że w stanie wojennym nie był internowany, co słusznie ma za zlekceważenie go przez władze PRL. W odwecie mnie ośmieszają hycle z IPN, uparcie pomijając Urbana na listach tajnych donosicieli SB. Czuję się przez to niekompletny, pozbawiony zasług, okaleczony. IPN kłamie, mówiąc, ale milcząc, również mija się z prawdą.

Świętej Epifanii

Oddziały IPN różnicują się politycznie. Podczas gdy prokurator IPN w Białymstoku posługuje się sfałszowanymi dokumentami i uznaje, że trzymanie fałszywek w aktach to normalka (patrzcie protokół mojego przesłuchania w sprawie Wałęsy), oddział IPN w Gdańsku przysłał mi za darmo książkę (Daniel Wicenty, „Załamanie na froncie ideologicznym. Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich od sierpnia '80 do stanu wojennego"). Była to trafna decyzja. Dzięki wysyłce pan Wicenty ma co najmniej jednego czytelnika. Przeczytałem o zmaganiach Stefana Bratkowskiego z podłym reżimem, ale ubawiła mnie puenta spoza tematu dzieła, którą przyniosło życie. 30 lat po zdarzeniach opisanych w książce od spadkobierców Bratkowskiego, Fikusa i innych SDP przejął PiS. Na dodatek nie ma to żadnego znaczenia. Stowarzyszenie Dziennikarzy RP narzucone w stanie wojennym jest liczne po dziś dzień. Tylko wszelki słuch o nim zaginął.

Wykonawcy polityki historycznej szukający w przeszłości cementu dla żywego społeczeństwa, znaku jego tożsamości, wzorów, nauk politycznych i legitymacji dla władzy nie zauważają, że czas wszystko zasypuje. Ich samych też.

Świętego Rajmonda

Jeszcze wisi na szafce z garnkami dyspozycja Daniszewskiej dla kuchni pt. „Menu dla Torańskiej". Okazało się, że trzeba przełożyć, bo jest w szpitalu, ale to zabrzmiało niewinnie. Na pogrzeb nie poszedłem. Pogrzeby są selektywne politycznie i zeszli się tam ci, którzy dla mnie są ONI – to znaczy, wedle klasyfikacji Torańskiej – MY.

Świętego Lucjana

Zazdroszczę skazanemu w procesie przeciw Ziobrze doktorowi G. Począwszy od pierwszej pracy w roku 1951 po dziś dzień nigdy, nikomu i w żadnej sprawie nie mogłem dać łapówki. Zawsze biorcy bali się mnie. Nikt też łapówki mi nie dawał. Może również ze strachu, a może nie było za co.

Świętego Lucjana

Brawo Depardieu. Żeby pokazać wała socjalistycznemu prezydentowi Francji, rzuca się on w objęcia kapitalistycznego prezydenta Rosji, powołując się na rekomendację swego ojca komunisty. Aktor stał się jednak tak opasły, że nie wiem, czy przeżyje rosyjską gościnność. W każdym razie – pozazdrościć.

Świętej Alix

Wyrok na chirurga Garlickiego, a szczególnie jego uzasadnienie dokonało rewolucyjnego przewrotu w telewizji. Celebrytą został antycelebryta – bezmimiczny, z trudem mówiący, nieprzystojny oschły prawnik. Kult postaci sędziego Igora T. oznacza znużenie mizdrzącymi się gwiazdami i gwiazdorami. Zagra on teraz w serialu czy znów na nosie? Poza tym skromny sędzia wpędził wściekających się na niego pisowców i Ziobrystów w żałość wszelaką.

Świętego Guillaume'a

Czas już zacząć spisywać zbrodnie kapitalizmu wobec sztuki. FilmBox wyświetlił w minioną sobotę świetną amerykańską komedię „Przypadek Harolda Cricka". „Wyborcza" streszcza ją następująco: *Urzędnik skarbówki stał się bohaterem nowej powieści pisarki, która ma w zwyczaju uśmiercać swoich bohaterów*. Akcja zmierza do puenty, którą wyjawię na przykładzie bardziej znanego dzieła. Anna Karenina, tytułowa bohaterka powieści Lwa Tołstoja, musi na końcu umrzeć, żeby cały romans miał sens. I przez to ta Anna na zawsze żyje w literaturze. Wyobraźmy sobie, że ma ona żywy odpowiednik, który też umiera. Co to ma za znaczenie? Kogo to obchodzi? Ta żywa czyta powieść, a zachwyciwszy się, rozumie swoją nicość.

Ponieważ amerykańska komedia dobrze się sprzedaje, gdy ma happy end, ta żywa Anna Karenina zmartwychwstaje i w szpitalu tuli się do ukochanego. Tak kapitalizm działa w sztuce. Film się skończył, lecz producent kazał dokręcić cukierkowe, ckliwe zakończenie bez sensu.

Cenzura kaleczyła, ujmując, chciwość cenzuruje, dodając.

Świętej Niny

Pisowski szef CBA Kamiński oznajmił w telewizji, że nocne przesłuchania świadków w sprawie doktora G. miały na celu wygodę przesłuchiwanych, zmniejszenie ich fatygi. Dlatego nietrafne jest ich porównywanie ze stalinowskim konwejerem.

Za stalinizmu poza długimi nocnymi przesłuchaniami stosowaliśmy m.in. bicie kablem w tyłek i pięty, skakanie żabką, siedzenie na odwróconym stołku, by jego noga właziła w odbyt (z lubością opisywane przez Sienkiewicza wbijanie na pal), stanie nago na mrozie, biegi po schodach, kładzenie w gównie itp. Wszystko to czyniliśmy nie z sadyzmu, ale także właśnie dla wygody przesłuchiwanego. Im szybciej domyślił się trafnie, co powinien zeznać, i uczynił to, tym krócej doznawał przykrości i potem siedział sobie przez nikogo nie niepokojony. Metody złagodzono, ale humanitarne intencje nacisków pozostały takie same. ❑

Rys. TOMASZ WIATER

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Radiomaryja.pl** informuje o zbiórce pieniędzy na kierunek medyczny uczelni w Toruniu. Przynajmniej czarni mają nieograniczony dostęp do zwłok.
- Również **radiomaryja.pl** informuje, że Polska przyczyniła się do wzrostu niemieckiego PKB. To Owsiak płaci swoje podatki w Niemczech.
- **Janusz Korwin-Mikke** walkę o swoje idee porównał do działalności Mojżesza, Jezusa i Mahometa. Jest też pewne podobieństwo do Króla Juliana.
- **Zdzisław Kurski** chce pozwać Donalda Tuska za fałszywe publiczne przypisywanie pedofilii. Ciekawe, jak przed sądem udowodni brak popędu seksualnego do dzieci.
- **Grenlandia** poinformowała, że z niecierpliwością oczekuje rozmów z USA na temat współpracy biznesowej. Warto sprawdzić, jak współpraca biznesowa wyglądała w Iraku, Afganistanie i na Haiti.
- We Wrocławiu **zakonnice** zaopiekowały się psem podrzuconym do okna życia. Żart! Pingwiny odesłały pieska do schroniska.

MARTA M.

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Droga Redakcjo!

Przeczytałem o świadczeniu specjalnym dla 100-latków. Ma ono być waloryzowane każdego następnego roku. Kłóci się to z logiką dbałości o osoby starsze, gdyż moim zdaniem, czym osoba bardziej wiekowa, tym należy się jej większy szacunek. Czy redakcja może zgłębić temat: dlaczego lewica nie wystąpiła z inicjatywą takiego uregulowania świadczenia, by najstarsi, powyżej 100-letni, Polacy mieli podwyższone dotychczasowe świadczenie do aktualnych stulatków – i również każdego roku waloryzowane – a nie byli spychani na margines (jak do tej pory). Może w wyniku takich działań będą mieli szansę poczuć się dostrzeżeni. Liczę na odpowiedź jako Wasz stały czytelnik.

PS Przyznaję że sprawa interesuje mnie od wielu lat, ale dopiero teraz postanowiłem ją nagłośnić. Jest to poniekąd prywata, gdyż moja mama ma 107 lat, a jej świadczenie od jego przyznania jest niezmienne i nie podlega waloryzacji.

J.R.

Szanowna Redakcjo,

Na Górnym Śląsku znaleziono sposób na przytulanie kasy z banerów, których przekaz, bo nie jest to żadna reklama, jest bezsensowny. Pierwszym jest *Bóg cię kocha! Wielka z tego jest radocha* (Katowice). Ktoś próbuje zapewnić społeczeństwo o miłości bożej do niego, jednocześnie informując, że jest z tego radocha, nie precyzując czyja. Najpewniej radochę mają ci, którzy trzepią kasę z tych banerów. Banery te widziałem nawet aż w Dąbrowie Górniczej. Drugim jest *Kocham, więc nie muszę się bać :)* (też Katowice). W tym przypadku otrzymuje gwarancję bezpieczeństwa osoba, która kocha, lecz brak jest sprecyzowania obiektu miłości. Nietrudno się domyślić, że twórcy tych banerów pałają ogromną miłością do kasy. Jadąc z Bytomia ulicą Chorzowską, w kierunku Katowic, tylko na tej ulicy zauważyłem ich co najmniej cztery, po obu stronach i w bardzo bliskiej odległości od siebie. Obawiam się, że wkrótce może się pojawiać takich „ambitnych" przekazów cała masa, wszak inwencja bezsensu jest nieograniczona i wprost proporcjonalna do żądzy zysków.

Czyż nie powinny się tego rodzaju akcji przyjrzeć służby kontroli wydatków z budżetu miast śląskich?

Pozdrowienia,
ANDRZEJ LECHOWSKI

eprasa.pl ba820e3b55

Płacenie Stanom Zjednoczonym za miłość do Polski to hobby każdego naszego rządu.

Żeby Ameryka była jeszcze większa

Dla cywilizowanych krajów handlujących bronią miarą dobrych chęci kontrahenta jest offset. To taki myk, żeby obywatele, za których kasę kupuje się trochę sprzętu dla wojska, nieszczególnie się wkurzali. Dzięki offsetowi mają być przekonani, że znacząca część zapłaconej kwoty wróci do nich w postaci nowych fabryk i technologii.

Polak nie potrafi

Z tego sposobu odzyskiwania części pieniędzy na wojsko zaczęliśmy korzystać w 2001 r. przy okazji zakupu ośmiu samolotów CASA C-295. W ramach offsetu Hiszpanie mieli zainwestować w Polsce 385 mln dol. Przy tej okazji namówiono ich na kupno najmniejszej i najstarszej firmy lotniczej, która zajmowała się podówczas produkcją kiosków Ruchu – zakładu lotniczego PZL Okęcie w Warszawie. Miał to być dla załogi skok techniczny i pełny portfel zamówień. Skoku nie było, a załoga była trzymana głównie po to, żeby od czasu do czasu wyprodukować coś nieskomplikowanego, acz niezbędnego do zreperowania samolotów CASA.

Kolejne umowy kompensacyjne pokazywały, że ambicją każdego dostawcy sprzętu wojskowego do Polski jest nas wykołować. Włoski koncern Oto Melara, który produkował wieżę strzelniczą do transportera opancerzonego Rosomak, przez kilkanaście miesięcy nie wywiązywał się z kontraktów o wartości ponad 300 mln euro.

Produkująca transportery opancerzone fińska Patria też omijała zobowiązania jak mogła. Rozliczała choćby jako najnowocześniejszą technologię produkcję farby do malowania wozów bojowych. Dokładnie takiej, jakiej używa każdy, kto maluje coś metalowego.

Cześć zobowiązań nie została w ogóle rozpoczęta, inne się spóźniały. Francuski Eurotor, dostarczający lekkie torpedy dla marynarki, zwlekał z realizacją swoich zobowiązań parę lat. To wszystko było ledwie przygrywką do tego, co miało nastąpić w związku z nabyciem przez MON nader nowoczesnych samolotów.

Gdzie się podziały tamte miliardy?

Tuż pod koniec 2002 r. oficjalnie ogłoszono, że koncern Lockheed Martin (producent samolotu F-16) wygrał konkurs na wielozadaniowy samolot bojowy dla Polski. Zdobył 90 punktów na 100 możliwych. Tyle samo, ile drugi w kolejności SAAB (z samolotem JAS 39 Gripen), ale Amerykanie przebili Szwedów w wysokości offsetu. Zadeklarowali, że zainwestują w Polsce ponad 9,5 mld dol., czyli 277 proc. ceny wynoszącej 3,5 mld dol. za 48 samolotów. SAAB przegrał, bo chciał wpakować w nas ledwie 4,7 mld euro.

W kwietniu 2003 r. strony podpisały, co było do podpisania. Z drobnym malutkim „ale". Zamiast umowy offsetowej podpisano umowę ramową. Nie z amerykańską agencją rządową – dostawcą samolotów – lecz z koncernem Lockheed Martin, czyli podwykonawcą kontraktu. W umowie zagwarantowano Amerykanom, że w razie niezrealizowania offsetu będą płacić odszkodowania w wysokości 3–4 proc. zamiast ustawowych 100 proc.

Pakiet offsetowy miał w ciągu paru lat przynieść kilkadziesiąt tysięcy nowych miejsc pracy. WSK PZL Mielec miała mieć promocję i sieć sprzedaży samolotów typu Skytruck i Dromader na rynku USA, WSK PZL Rzeszów – produkować elementy silników dla naszych F-16, WSK PZL Świdnik zaś– stać się firmą sprzedającą najwięcej śmigłowców w Ameryce Północnej.

Offset nie działał. Najpierw zauważyli to dziennikarze, a chwilę później politycy ówczesnej opozycji. Bronisław Komorowski w listopadzie 2006 r. stwierdził: *Umowa offsetowa zawarta przy zakupie samolotów F-16 nic nie poprawiła w polskiej gospodarce. To stracona wielka szansa*.

Miał rację choćby dlatego, że Amerykanie w wartość offsetu wliczyli sobie przejęcie za czasów IV RP przez firmę Sikorsky zakładu w Mielcu w zamian za spłatę zadłużenia wobec Agencji Rozwoju Przemysłu. I nic to, że na dwa tygodnie przed podpisaniem umowy sprzedana za 56 mln zł spółka otrzymała od MON 70 mln zł.

Inni Amerykanie przejęli też zakład WSK PZL Rzeszów. Po paru miesiącach Amerykanie wycofali się z wszystkich ważniejszych zobowiązań przedsiębiorstwa. Firma, która przed sprzedażą miała 10 mln zł zysku przy 17 mln zł przeznaczanych na inwestycje, w pierwszych trzech latach bycia amerykańską przyniosła straty przekraczające 200 mln zł.

Radosne wliczanie do offsetu wszystkiego, co amerykańskie, trwało. Wśród projektów z lat 2003 i 2004 najwyżej wycenione zostało przez Amerykanów przeniesienie produkcji Astry II do Gliwic. Wyszedł im z tego transfer technologii na 840 mln dol. Przeniesiono ją z Niemiec w formie maszyn zdemontowanych tam, aby w ich miejscu mogły stanąć nowocześniejsze i wydajniejsze.

Kolejnym skokiem w nowoczesność z okazji zakupu F-16 było uruchomienie w gliwickim Oplu produkcji Zafiry. Lockheed Martin wyliczył to na 815 mln dol. offsetowych. A za nowatorskie podejście w stworzeniu centrum logistycznego Opla w starej hali Bumaru Łabędy odliczył sobie inwestycję za 220 mln dol.

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Amerykanie obiecali też kasę na inwestycje w dziesiątkach firm, do których nawet nie dotarli. Jedna z nich pozwoliła sobie o tych niedotrzymanych zobowiązaniach przypomnieć. Dzięki temu Bartimpex mógł wiele lat później wymusić na firmie Lockheed Martin odszkodowanie.

A ponieważ dostał je również za to, że ma siedzieć cicho, to nie wiadomo, czy dostał pięć, czy – jak chcą inni – 13 mln dol. I to za nic.

Kto Trumpowi da więcej?

Sprawą w końcu zajęła się Najwyższa Izba Kontroli. W jej raporcie z roku 2009 stało, że *jedynie co czwarty ze zrealizowanych projektów spełniał wszystkie wymagania zawarte w ustawie, więc przyczyniał się do modernizacji polskiej gospodarki i restrukturyzacji konkretnych przedsiębiorstw. Pozostałe projekty offsetowe, mimo że zrealizowane, dają tylko bieżące korzyści pojedynczym zakładom, nie są związane ani z transferem nowoczesnych technologii, ani nawet z certyfikacją przedsiębiorstw czy produkowanych przez nie wyrobów*.

Kontrolerzy znaleźli też takie kwiatki jak wliczanie przez Amerykanów do wartości zobowiązania kosztów transportu, zawyżanie ceny transferowanych technologii czy inwestowanie w podmioty powiązane ze sobą kapitałowo – znaczy amerykańskie.

Tak czy inaczej, dzięki przyjaźni polsko-amerykańskiej zapotrzebowaniu na stacjonowanie jednostek US Army na terenie Polski oraz temu, że ponad 2 mld dol. jednak zostało w naszą gospodarkę wpompowane, pod koniec maja 2015 r. Ministerstwo Gospodarki poinformowało o *zaakceptowaniu wykonania przez Lockheed Martin zobowiązań offsetowych związanych z pozyskaniem 48 myśliwców wielozadaniowych F-16C/D dla Sił Zbrojnych RP*. Ich łączna wartość została wyceniona na 6,028 mld dol.

Jednak już rok wcześniej w sejmie przeszła ustawa, w której zawarto wszystko, czego Polska nauczyła się do tej pory na offsecie. Od tego czasu kompensata inwestycyjna nie jest już podstawowym kryterium zakupu.

Platforma nie przewidziała jednak, że straci władzę, a tym bardziej – że do MON wkroczy Macierewicz z Misiewiczami, którzy poobsadzają stołki we wszystkich firmach zbrojeniowych.

Takim firmom przydałaby się jednak offsetowa kasa, stąd Macierewicz zapowiedział, że chce kupić baterie Patriot, i to z potężnym offsetem. Po takiej deklaracji Amerykanie wystawili cenę z kosmosu, obawiając się, że polski minister obrony zamiast deklarowanych 16 zestawów kupi dwa, a Polakom wmówi, że jest tego 10 razy tyle. Cena 10,5 mld dol. za 16 sztuk była dla nas nie do przyjęcia, a 4,75 mld za osiem sztuk dla następcy Antoniego – jak najbardziej.

Ale żeby zrobić na Trumpie dobre wrażenie, pisowcy zrezygnowali z zapowiadanych przez Macierewicza 50 proc. offsetu. Zostawili go na poziomie niecałych 6 proc., czyli 950 mln zł. Tyle kosztowało wówczas wybudowanie 10 km ekspresówki.

Offsetowy miliard miał pójść na 37 różnych technologii zawartych w 31 zobowiązaniach. Podzielonych na dwie firmy amerykańskie. Producenta Patriotów – Raytheon Company oraz dostarczyciela rakiet – Lockheed Martin Global Inc. Tego samego co w przypadku F-16. Dawało to tak żałośnie małe kwoty na każdą z inwestycji, że eksperci nawet nie chcieli tego komentować.

Potem było już tylko śmieszniej. Gdy zwolennicy Trumpa szturmowali Kapitol, polski komitet offsetowy przyjął rekomendację Ministerstwa Obrony Narodowej dotyczącą rezygnacji z zastosowania offsetu przy pozyskaniu myśliwca F-35A. Offset miał mieć równowartość miliarda dolarów. I oczywiście go nie ma. 31 stycznia 2020 r. Polska zadecydowała się na zakup 32 samolotów F-35A. Za dwie eskadry, które mają do Polski dotrzeć w latach 2026–2030 płacimy w ratach 4,6 mld dol.

Jeszcze wcześniej, bo w 2019 r., Polska za 414 mln dol. kupiła 20 wyrzutni HIMARS oraz 300 pocisków. Żadnego offsetu nie było. Ale media nie zostawiły na tym dealu suchej nitki.

Chcąc nie chcąc, w sierpniu 2023 r. Błaszczak zatwierdził więc umowy offsetowe w drugiej fazie programu. Obejmują one 13 amerykańskich zobowiązań o łącznej wartości ok. 1 mld zł. Oczywiście za offset odpowiadają ci, którzy wiedzą, jak go z Polakami rozliczać – firmy Raytheon i Lockheed Martin. Miliard złotych w offsecie za kosztujące 10 mld dol. 486 wyrzutni HIMARS oraz ponad 9 tys. rakiet kierowanych, wzbudza nie śmiech, ale politowanie.

Aktualna koalicja rządząca – skądinąd słusznie – nie robiła z tymi umowami nic. Wiedziano, że bez względu na to, kto wygrałby listopadowe wybory prezydenckie i tak nie będzie miał ochoty na renegocjacje tak korzystnych dla USA kontraktów. Kopanie się z koniem nie miało zatem najmniejszego sensu, a zadłużenie się w Stanach na amerykański sprzęt wojskowy dawało rękojmię przyjaznego traktowania.

Teraz, gdy Donald Trump zaczyna swoją drugą kadencję, nasze zobowiązania za kupowaną w Ameryce broń przekraczają grubo ponad 10 mld dol. Jeśli jednak ktoś sądzi, że to wystarczy, żeby Trump nas kochał, to może się przeliczyć. Ciekawe bowiem, co powiedziałby amerykański prezydent, gdyby Putin zaproponował mu 100 mld dol. za odkupienie tej wierzytelności i kolejne 100 mld dol. za zajęcie przesmyku suwalskiego, tak przecież istotnego dla bezpieczeństwa Rosji, jak przesmyk panamski dla Stanów Zjednoczonych.

TOMASZ BOROWIECKI

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Logiczny. Precyzyjny. Nieomylny.

Czyżby?

Najpierw pisze: *Pieniędzy nie ma i nie będzie. Na moje oko tyle wynika z uchwały PKW*, czym stawia pod ścianą ministra finansów, który prędzej teraz połknie swoją nominację, niż przeleje pieniądze na rachunek Prawa i Sprawiedliwości.

Potem premier daje się podejść człowiekowi tak intelektualnie nieskomplikowanemu jak prezydent. Na jego list w sprawie nietykalności premiera Izraela Donald Tusk zapewnia, że jeżeli Binjamin Netanjahu przyleci do Polski na obchody 80. rocznicy wyzwolenia Auschwitz, nie zostanie aresztowany mimo ścigania go przez Międzynarodowy Trybunał Karny. Tusk dodaje, że polski rząd wydaje uchwałę w tej sprawie, łamiąc prawo i dobre obyczaje międzynarodowe.

Zatem ani logiczny, ani precyzyjny, ani nieomylny, tylko taki jak prawie wszyscy polscy politycy.

eprasa.pl ba820e3b55

Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

Koalicja sflaczałej kampanii

Jasnogórski wytrysk Nawrockiego

Od czytania komentarzy polityków koalicji rządzącej po jasnogórskim show Karola Nawrockiego z niesmaku marszczy się nie tylko nos, ale i dupa.

Gościem specjalnym 17. Patriotycznej Pielgrzymki Kibiców na Jasną Górę był prezes IPN, niezależny obywatelski kandydat z ramienia PiS na prezydenta Karol Nawrocki. Po pełnej duchowych uniesień mszy pretendujący do roli beneficjenta insygniów narodowych Lolek wygłosił w wypełnionej po brzegi auli ks. Kordeckiego o. paulinów odezwę do środowisk kibolskich. Przemówienie bezsprzecznie będące częścią kampanii prezydenckiej można określić smutkiem banału. O kibicach mówił, że są częścią życia obywatelskiego, którzy w swojej kulturze mają samostanowienie niezależności i nieuleganie temu, co dzieje się w czasie wyborów i po nich. Docenił *niesamowite zdolności organizacyjne* sportowych bojówkarzy; *To, że pamiętacie, niezależnie od tego, co wmawia wam obecna władza, ani kto zdrapuje po nocach z ekspozycji muzealnych bohaterów, to trybuny stadionów były, są i wierzę, że pozostaną* – podkreślał, naiwnie zakładając, że stadionowi dresiarze kiedykolwiek przekroczyli próg muzeum. Ejakulację entuzjazmu zgromadzonych i samego Nawrockiego wzbudził uroczy 11-letni chłopczyk o książkowo aryjskim fizis, który z mieszanką dumy i troski zapytał, czy Nawrocki jako prezydent *nie dopuści do wprowadzenia lewackiej ideologii do szkół*. Chóralne *raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę* zatrzęsło Jasną Górą w posadach. Słowem – koszmarna nuda. I właściwie nie byłoby się nad czym rozwodzić, gdyby nie histeryczna reakcja polityków KO i reszty bajkowych stworów, dzięki której Nawrocki był na ustach całej Polski, oraz komentariatu portalu, na którym wygrywa się wybory algorytmem – dawnym Twitterze, czyli X.

W wyciąganiu przetrąconych refleksji z miejsc, których prawdopodobnie nie chciałby oglądać nikt z autorem na czele, przodował poseł Marcin Józefaciuk. W jednym z wpisów, trzęsąc się nad blond patriotycznym nasieniem, pytając niby retorycznie: *Gdzie są rodzice tego dziecka wykorzystanego do polityki?*, oznaczył rzecznika praw dziecka Monikę Hornę-Cieślak. Trudno sobie wyobrazić, jaki poseł miał w tym cel. Czy RPD miała spuścić opiekunom smarka pisemną reprymendę? Wysłać służby, które o świcie wywlokłyby w gaciach i kajdankach płodzicieli dzieciaka z domu, a młodego odstawiły do liberalnego obozu reedukacyjnego? Bóg nieistniejący raczy wiedzieć. W tony dziecięcej niewinności uderzyła także Monika Rosa z Nowoczesnej: *Kampania wyborcza i doraźna korzyść polityczna nie mogą być ważniejsze niż dobro dzieci. Włączanie dzieci w kampanijne wydarzenie pełne nienawiści to skandal. I fakt, że odbywa się to w Kościele, nadaje temu jeszcze bardziej obrzydliwy wymiar*. Dziecko, które wystąpiło na wiecu, w dupie ma troskę person pokroju Rosy i Józefaciuka. Pójdzie do szkoły i z dumą opowie, jak chłopaki z szalikami skandowały na jego cześć pieśń patriotyczną, kumple będą mu zazdrościć, a koleżanki oddawać wafelki i pokazywać majtki w kącie. Za to furą prawicowego gówna, która spadła na wpisy posłów, można by użyźnić glebę od Helu po Tatry. Jeśli ktoś ze sztabu Trzaskowskiego miał w planach docukrzanie wizerunku swojego kandydata przy pomocy nieletnich obywateli, to właśnie powinien z nich zrezygnować. Kupczenie sentymentem do bachorów skończyło się prawicowym laniem. Zaorane, jak mawia młodzież.

To, co zrobił PiS i Nawrocki na Jasnej Górze, to zwykła, ordynarna, bezczelna profanacja – napisał Roman Giertych, wierny przed laty środowiskom narodowym, które namiętnie polerowały jasnogórskie posadzki kolanami i dumnie wznosiły proporce z falangą ku Najwyższemu. *Dwa światy. Trzaskowski z uśmiechem przekonuje w Gostyninie zwykłych obywateli, a Nawrocki z Jasnej Góry robi cyrk propagandy, nienawiści i pogardy* – dorzucił poseł Dariusz Joński. *Ostatnie wydarzenie na Jasnej Górze to nie incydent. To profanacja miejsca o ogromnym dla Polaków znaczeniu historycznym i religijnym* – napisał były poseł Grzegorz Furgo z PO. Akurat Furgo, który był za PRL jednym z szefów BART-u (Bałtyckiej Agencji Artystycznej), powinien sobie zdawać sprawę z potencjału happeningu (a tym bez wątpienia była hucpa Nawrockiego) w tym nieprzypadkowym miejscu.

Do rozpuku może bawić pytanie Józefaciuka, gdzie są ci, którzy walczą o godność w miejscu kultu i jej zachowanie, zadane księdzu Januszowi Chyle, ultrakonserwatywnemu prawicowemu klesze, namiętnie celebrującemu narrację o lewackich neomarksistowskich ideologiach. *Nawrocki na tle świętych obrazów hejt podsycał, biskupi milczą. Wstyd* – tokowała Barbara Nowacka, która blokowana przez purpuratów nijak nie może przeforsować zmian w polskiej edukacji.

Panie i panowie posłanki z głupim się widzieli przez ścianę i pozamieniali z prąciem na łby. Wyborców Koalicji 13 grudnia czyści Jasna Góra i jej świętości. Oczekiwali zagłady Polski klerykalnej. To Kościół sprofanował ich żywot pod polskim niebem: przez zakaz skrobanek, związków partnerskich, gnojenie środowisk LGBT i długo by wymieniać.

Pozorowane działania Koalicji Obywatelskiej przeciwko watykańskiemu monolitowi wybudziły z letargu elektorat PiS-u, a niepowodzenie kulawej strategii srogo wkurwiło wyborców KO.

Jak głęboko w okrężnicy trzeba trzymać głowę, żeby w momencie, kiedy już wiadomo, że Fundusz Kościelny zamiast środkowego palca otrzyma od państwa rekordowy budżet, wzywać publicznie biskupów do potępienia show Nawrockiego?

Na jaki poziom naiwności trzeba się wspiąć, aby sądzić, że Kościół za tych kilka srebrników odpuści szansę jazdy na pisowskim grzbiecie do państwowego paśnika pełnego przywilejów; nazwijmy rzecz po imieniu – współrządzenia krajem po wygranej prawicy. KO, która chciała trzymać dwie świnie za ogon, została z własnym kwikiem i stoi po łokcie w mierzwie. Było wyciąć raczysko bez żalu, zamiast macać się z koloratkami po pipie – bodaj dla wzmocnienia własnego elektoratu. To nie żerujący na najniższych instynktach Nawrocki powinien wzbudzać poczucie żenady. On – w przeciwieństwie do KO – dobrze wykonał swoją robotę. Wizyty Trzaskowskiego w Gostyninie nikt nie zauważył. O Nawrockim huczy cały X.

IDALIA DUBICKA

Wstydzę się za mój rząd

Uchwała rządu Donalda Tuska w sprawie nieścigania ściganego przez Międzynarodowy Trybunał Karny premiera Izraela, podejrzanego o zbrodnie wojenne, ma tę zaletę, że nawet najzagorzalsi entuzjaści Tuska czują się w obowiązku powiedzieć, że coś jest jednak nie halo. Uchwały bronią – dość rozpaczliwie – członkowie rządu, w tym min. Bodnar (co jednak jest haniebne), ale w szeroko pojętym komentariacie znalazłam bodaj jednego tylko tzw. eksperta, który pod nazwiskiem wsparł plan niearesztowania Netanjahu.

Z tym, że nie był to ekspert od prawa ani od stosunków międzynarodowych, tylko historyk. I nie chwalił decyzji Tuska o podjęciu uchwały, tylko decyzję Dudy o wezwaniu Tuska do podjęcia uchwały – chodzi bowiem o bliskiego PiS dr. hab. Daniela Boćkowskiego z Uniwersytetu w Białymstoku.

Boćkowski – o którym wiemy niewiele, poza tym, że został odznaczony medalem ProPatria przez pisowskiego szefa Urzędu do Spraw Kombatantów Jana Józefa Kasprzyka – uznał, że gotowość złamania umowy międzynarodowej na benefis izraelskiego zbrodniarza jest *zbieżna z amerykańską polityką Trumpa* i to dobrze, bo *musi być zbieżna, bo mamy określone interesy ze Stanami Zjednoczonymi*. I jeszcze dodał, że *czasami trzeba wybrać między dwoma niekorzystnymi emocjami*. Argumentów prawnych – ani etycznych – nie przedstawił, i słusznie. Bo – po pierwsze – takich nie ma, a po drugie – historycy nie są od prawa i etyki.

Mastalerek–Sikorski 1:0

Do rozkosznie cynicznego wystąpienia prof. Boćkowskiego warto dorzucić jedną informację, która pochodzi z przecieków, więc może być nieprawdziwa – ale nie musi. Osobiście jestem skłonna w nią uwierzyć, bo to bardzo w stylu polityków, których dotyczy.

Otóż podobno całą rozgrywkę o Netanjahu na linii prezydent–premier zaczął, i to wiele tygodni temu, Radek Sikorski. MSZ wystąpić miał do Dudy z wnioskiem o wystosowanie oficjalnego zaproszenia na obchody wyzwolenia Auschwitz dla prezydenta Izraela, Jicchaka Herzoga – który ma tę zaletę, że nie jest ścigany międzynarodowo jako zbrodniarz wojenny. Delegacja pod przewodnictwem prezydenta miałaby z kolei tę zaletę, że na pewno nie byłoby w niej premiera; problem polega wszakże na tym, że głowę państwa zgodnie z protokołem dyplomatycznym winna zapraszać inna głowa państwa.

Dno dna

Czyli Netanjahu jedzie „do Radomia"

GADMAN

Znacie zapewne tego szmoncesowego sucharka. Jojne pyta Icka o to, kiedy odda mu dług. *Jak tylko wrócę z Radomia* – zapewnia Icek. *A kiedy wracasz?* – dopytuje Jojne. *Ja się tam nie wybieram* – wyjaśnia Icek.

Od dwóch tygodni najtęższe krajowe umysły polityczne i komentatorskie spierają się o odpowiedź premiera Tuska na pytanie zadane mu z prezydenckiego pałacu. W zamyśle ostatecznie rozwiązującą fundamentalny dylemat: czy premier Tusk powinien aresztować ściganego przez Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości premiera Netanjahu pragnącego odwiedzić niemiecki obóz koncentracyjny Auschwitz-Birkenau, czy pozwolić osobie podejrzanej o ludobójstwo opuścić obóz i terytorium państwa polskiego? Spór ten pozostaje nadal nierozstrzygnięty.

Nie tylko dlatego, że urzędnicy premiera Tuska wysmażyli niejednoznaczną odpowiedź. Gwarantującą gościom premiera Tuska szeroko rozumiane bezpieczeństwo, choć niegwarantującą ochrony przed aresztowaniem. Areszt nie oznacza przecież utraty bezpieczeństwa. Bywali już bandyci zagrożeni środowiskową zemstą, którzy wystawiali się na aresztowanie.

Bo w więzieniu czuli się bezpieczniej niż na tzw. wolności.

Spór pozostanie zapewne nierozstrzygnięty, bo podstawowym kryterium prawdy jest praktyka, nie pyskówka. A już ogłoszono, że premier Netanjahu nie wybierał się do Auschwitz-Birkenau i nadal się nie wybiera. Tak jak szmoncesowy Icek do Radomia.

Ale ten angażujący polskie elity medialne i polityczne spór znakomicie odzwierciedla styl i praktykę polskiej polityki. Polska myśl polityczna polega przede wszystkim na wykreowaniu problemu. Wzywa do debaty. Każdego, kto w Polskę wierzy. Potem maksymalnie antagonizuje się strony sporu dzięki kanonadzie medialnych komentarzy krajowych elit komentatorskich i politycznych. Oczywiście im głupsze są komentarze, tym temperatura i zasięg sporu rosną.

Wtedy przestaje być istotne, że premier Netanjahu nie zamierzał i nie zamierza przybyć do Polski. I nigdy powodu do sporu nie było. Bo wtedy debata o nieistotnym problemie żyje. Bo wtedy krajowy komentariat prześciga się w poszukiwaniu ukrytego sensu wykreowanego sporu. Jego ukrytych znaczeń, spisków, wróżb na przyszłość.

Drugie dna

Nic zatem dziwnego, że zwolennicy premiera Tuska jęli oskarżać prezydenta Dudę o podłą intrygę inaugurującą spór. Ponoć duży pałac (prezydencki) postanowił zastawić pułapkę na mały pałac (premiera Tuska). Kierując jedynie za pośrednictwem przyjaznych mu mediów pytanie o ewentualne aresztowanie Netanjahu, z góry wiedział, że każda odpowiedź będzie dla małego pałacu niekorzystna.

Bo zapowiedź aresztowania izraelskiego premiera proprezydenckie i propisowskie media od razu okrzyknęłyby aktem wrogim wobec prezydenta USA Trumpa. Bo Trump nie uznaje ścigającego Netanjahu trybunału i wielce miłuje tegoż podejrzanego o ludobójstwo izraelskiego polityka. Zatem zgoda na areszt izraelskiego

eprasa.pl ba820e3b55

List żelazny dla ludobójcy

dyplomatycznym winna zapraszać inna głowa państwa.

Inne pytanie – czy to aby na pewno problem; z punktu widzenia rządu. Gdyby Duda wystąpił z takim zaproszeniem, intencja – zapraszamy prezydenta, żeby uniknąć premiera – byłaby jasna. Binjamin Netanjahu, i co gorsza, Donald Trump wiedzieliby, że jest to unik. Trump jest zaś znany z tego, że od swoich podwładnych – a w jego oczach świat dzieli się na podwładnych i wrogów – żąda przede wszystkim „lojalności", rozumianej stricte mafijnie.

Pamiętacie taką scenę z drugiego „Kingsmana", kiedy szefowa kartelu narkotykowego każe nowemu rekrutowi wsadzić kumpla do maszynki do mięsa, a potem zjeść zrobionego z niego hamburgera? To jest mniej więcej klimat Trumpa.

Odmowa złożenia deklaracji lojalności była np. powodem, dla którego wywalił z roboty szefa FBI Jamesa Comeya, co teoretycznie miał prawo zrobić; ale co było wbrew wszelkim zasadom i wydarzyło się drugi raz w historii instytucji (pierwszy, w 1993 r., wiązał się z nadużyciami finansowymi). Zejście z linii strzału w sprawie lojalności wobec Izraela – w postaci zaproszenia prezydenta, żeby uniknąć niebezpieczeństwa wizyty premiera – oznaczałoby w oczach Trumpa deklarację braku lojalności. I spadłoby na barki Dudy.

Prezydent RP pewnie by się w tym nie połapał – ale niezaskakująco połapał się (powtórzę: ponoć) Marcin Mastalerek. I to on miał wysmarować do rządu pismo z żądaniem listu żelaznego dla Netanjahu – o czym natychmiast poinformowane zostały amerykańskie media, a konkretnie agencja Bloomberg. Dlaczego akurat Bloomberg, nie wiemy, ale przecież to nie ma żadnego znaczenia: ważne jest to, że wiadomość dotarła zarówno do Netanjahu, jak i do Trumpa, co oznaczało spektakularne przerzucenie piłki na boisko Tuska.

Dealu nie ma, jest groźba

Jeszcze miesiąc temu stanowisko rządu w tej sprawie było jasne i zgodne z prawem. 3 grudnia wiceministrzyca sprawiedliwości Maria Ejchart podpisała w Hadze umowę między Polską a MTK o wykonywaniu wyroków: *Chcemy, aby zawarcie umowy wskazywało, że Polska wypełnia swoje zobowiązania międzynarodowe, zwłaszcza w obszarze ścigania i karania zbrodni międzynarodowych*. 5 grudnia wiceminister spraw zagranicznych Andrzej Szejna oświadczył w sejmie: *Immunitet i nietykalność przywódcy państwa, które zwyczajowo obowiązują w relacjach wyłącznie międzypaństwowych, nie mają zastosowania. Premier Izraela wie, czego może się spodziewać*… Skądinąd można odnieść wrażenie, że Donald Tusk już wtedy usiłował nie ustawiać się na linii strzału – skoro kluczowe wypowiedzi w tej sprawie pochodziły od urzędników w randze wiceministra, i to niezwiązanych z Platformą Obywatelską (Ejchart jest „człowiekiem Bodnara", Szejna reprezentuje Nową Lewicę). Jednak po pułapce, którą Mastalerek zastawił na Tuska, możliwość uników wyraźnie się skończyła.

Skłonna jestem się założyć, że za oburzającą, nielegalną i w istocie rzeczy idiotycznie zbędną – Netanjahu nigdy się do Polski nie wybierał – uchwałą rządu stoi jakieś ultimatum ze strony otoczenia Trumpa. Zdaje się to potwierdzać sekretny informator Dominiki Długosz z „Newsweeka": *Na pytanie, czy decyzja ws. Netanjahu jest elementem jakiejś umowy z Amerykanami, nasi rozmówcy z otoczenia premiera zdecydowanie zaprzeczają, ale dodają, że „dealu nie ma, jest sygnał"*. Sygnał bez dealu przeważnie nazywamy groźbą.

W razie, gdyby ktoś pomyślał, że w ten sposób usprawiedliwiam Donalda Tuska i jego rząd – nie, nie ma usprawiedliwienia.

Trump jest postacią, którą najlepiej określa amerykańskie słowo *bully*. Na polski tłumaczy się to czasem nieporadnie jako *tyran* – ale oczywiście tyran kojarzy się z bezwzględnym władcą, królem, cesarzem, podczas gdy *bully* to gówniarz, który znęca się nad słabszymi; nie ma w nim nic królewskiego. To wyrośnięty łobuz, co na podwórku tłucze mniejsze dzieci i zabiera im pieniądze na kanapkę. Przeciwstawienie się takiemu skurwielowi należy do moralnych obowiązków tych, którzy mają ku temu możliwości. Nie uważam Polski za mocarstwo w żadnym wymiarze, ale oczekiwałabym od premiera – bądź co bądź – średniej wielkości europejskiego państwa, że nie będzie tak żałośnie klękał przed tupnięciem Trumpa. Jest mi po prostu wstyd.

Rys. OBYWATEL JANEK

Szczególne okoliczności zbrodni

W całym dyskursie na temat nieszczęsnej uchwały rządu warto zwrócić uwagę na jeszcze jedną kwestię. Otóż fakt, iż jest ona ewidentnym złamaniem prawa międzynarodowego (choć niektórzy podkreślają, że sama deklaracja nim nie jest – byłoby dopiero rzeczywiste niewypełnienie nakazu MTK) daje krytykom swoiste alibi.

Otóż nie muszą oni odnosić się do meritum. Mogą spokojnie skupić swoje oburzenie na dość formalnej kwestii zapowiedzi niewykonywania zobowiązań, wynikających z umów międzynarodowych – formalnej tym bardziej, że żadnej szansy na ich wykonanie nie było, bo Netanjahu się do Polski nie wybierał.

Bardzo oczekuję od polityków – przynajmniej lewicy – powiedzenia: tak, Izrael dopuszcza się w Gazie ludobójstwa. Mówi o tym nie tylko MTK. Mówi o tym ONZ, mówią Amnesty International, Human Rights Watch i tuziny innych organizacji. Nikt nie kwestionuje ich ustaleń faktycznych; zamiast tego rząd Izraela i jego sojusznicy krzyczą, a jakże, o antysemityzmie.

I na koniec jeszcze jedna uwaga: rządowi obrońcy listu żelaznego dla Netanjahu powtarzają jak mantrę, że wyjątkowo trzeba zrobić wyjątek, bo wszak okoliczność jest wyjątkowa: 80. rocznica wyzwolenia Auschwitz. *Jeżeli najwyższy przedstawiciel narodu, który ucierpiał z powodu Holokaustu, chce się pojawić, to powinien mieć taką szansę w tym szczególnym dniu* – ogłosił min. Bodnar w swojej żenującej próbie obrony decyzji rządu. – *Uważam, że biorąc pod uwagę te szczególne okoliczności, Polska ma prawo wydać tego typu stanowisko*.

Nie ma i Bodnar doskonale to wie – jest wszak profesorem prawa. Ale ja nie o tym.

Otóż jeśli coś wydarza się po raz 80. – to z definicji nie jest wyjątkowe ani szczególne. Wyjątkowa i szczególna jest sytuacja, w której państwo uchodzące za cywilizowane i demokratyczne od 16 miesięcy przy bierności społeczności międzynarodowej prowadzi czystkę etniczną, w której zamordowało już co najmniej 46 tys. ludzi (według niedawnej publikacji pisma „Lancet" podawana przez władze Gazy liczba może być zaniżona nawet o 40 proc.). Obchody rocznicowe jakoś wydają mi się w tym kontekście mniej doniosłym wydarzeniem.

A tak na marginesie: pytanie, „jak Netanjahu, to czemu nie Putin", pojawiające się w kontekście ironiczno-retorycznym, ma wszak bardzo konkretną odpowiedź. Otóż Putin jest wrogiem Ameryki, a Netanjahu jej sojusznikiem. To jedyna licząca się w oczach kolektywnego Zachodu różnica.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Specjalna sprawozdawczyni ONZ ds. okupowanych terytoriów palestyńskich Francesca Albanese: *Przytłaczający charakter i skala izraelskiego ataku na Gazę oraz powstałe w jego rezultacie warunki życia ujawniają zamiar fizycznego zniszczenia Palestyńczyków jako grupy. Istnieją uzasadnione podstawy, aby sądzić, że próg wskazujący na popełnienie ludobójstwa przez Izrael został osiągnięty*.

Amnesty International: *Szerszy obraz działań Izraela – z systemem apartheidu, bezprawną okupacją, rasistowską, odczłowieczającą retoryką i ludobójczymi wypowiedziami wysokich urzędników izraelskich – świadczy o zamiarze ludobójstwa Palestyńczyków*.

Human Rights Watch: *Władze Izraela celowo stworzyły warunki życia obliczone na fizyczne wyniszczenie Palestyńczyków w Strefie Gazy w całości lub w części. Polityka ta, prowadzona równolegle do masowego zabijania palestyńskich cywilów, oznacza, że władze Izraela popełniły i wciąż popełniają zbrodnię przeciwko ludzkości polegającą na eksterminacji. Polityka ta stanowi również jeden z pięciu aktów ludobójstwa w rozumieniu konwencji o ludobójstwie z 1948 r.*

premiera miała być aktem godzącym w dobro Polski. Bo dobre samopoczucie prezydenta USA Trumpa jest dla polskiego prezydenta i opozycyjnej prawicy tożsame z dobrem Polski.

Podobnie niezgoda na areszt zadeklarowana przez mały pałac też miała obciążać premiera. Bo potwierdziłaby lansowany przez prezesa Kaczyńskiego i prezydenta Dudę przekaz, że premier Tusk stoi ponad prawem. Tezę, że premier Tusk i jego bodnarowska drużyna obecnie decydują, które sądy są prawomocne, które wyroki sądowe należy wykonywać, a które można olać.

Przy okazji sporu okazało się, że tylko nieliczni komentujący wspomnieli, że wedle obowiązującego prawa o aresztowaniu premiera Netanjahu powinien decydować niezależny od władzy wykonawczej (czyli premiera) prokurator. A także niezależny sąd reprezentujący trzecią władzę, jeśli aresztant skutecznie odwołałby się od decyzji prokuratora. Okazuje się, że po ośmiu latach rządów Kaczyńskiego i roku rządów Tuska nawet medialny komentariat uznaje prymat władzy wykonawczej nad sadowniczą.

Warto przypomnieć, że nie ma jeszcze wyroku trybunału ścigającego izraelskiego premiera.

Netanjahu formalnie jest jedynie podejrzany o ludobójstwo. Zatem jako podejrzany może korzystać z domniemania swojej niewinności. Podobny status ma obecny prezydent Rosji. Ciekawe, co by było, gdyby prezydent Putin zadeklarował chęć wizyty w obozie Auschwitz-Birkenau. Czy wróciłby stamtąd wolny, czy zostałby w Polsce uwięziony?

Rys. MARCIN CHUDZIK

Oczywiście teraz wpisujemy się w styl debaty polskich elit. Prezydent Putin przecież nie wybiera się „do Radomia". Nie wiadomo, kiedy polską ziemię odwiedzi. Na tegorocznych obchodach 80. rocznicy wyzwolenia niemieckiego obozu śmierci nie będzie też reprezentacji władz Rosji ani jej ambasadora nadal akredytowanego w Polsce. Nie zaproszono go, choć to Armia Czerwona wyzwoliła ten obóz. Być może będzie tam ambasador Ukrainy. Bo, jak odkryli badacze z IPN, ów obóz wyzwolili w styczniu 1945 r. żołnierze 1. Frontu Ukraińskiego. Ciekawe, czy gdyby uczynili to żołnierze sąsiedniego Frontu Białoruskiego, to zaproszenie dostałby ambasador Białorusi albo nawet prezydent Łukaszenka. A gdyby przylecieli na te uroczystości Netanjahu, Putin i Łukaszenka, to którego z nich aresztowano by pierwszego?

Wojna trzydziestoletnia

Polskie elity polityczne i medialne łaszą się teraz do prezydenta Trumpa. Prawicowe liczą na jego wsparcie dla kandydata Karola Nawrockiego w wyborach na prezydenta RP. A potem na trumpowe wsparcie prawicy w wyborach parlamentarnych. Zabawne, że polscy prawicowcy deklarujący suwerenność jako filar „genu polskości" jednocześnie prześcigają się w zabiegach o łaskę prezydenta USA.

Polskie elity medialne i polityczne wierzą też w cudowną moc przyszłego amerykańskiego prezydenta. Wierzą, że Donald Trump jeszcze tej zimy zakończy wojnę w Ukrainie. Zaraz po zaprzysiężeniu zadzwoni do prezydenta Putina. Tupnie nóżką, pogrozi mu paluszkiem i zmusi do zawarcia rozejmu na zaproponowanych przez administrację USA warunkach. Wtedy polskie elity medialne i polityczne odetchną z ulgą. Bo problem wojny ukraińskiej sam się rozwiąże. I pozostanie tylko zabiegać w Waszyngtonie o szybkie wyznaczenie im zadań do wykonania w wolnej już Ukrainie.

Niestety wiele znaków na ziemi wskazuje, że Rosja jest lepiej przygotowana do prowadzenia długotrwałej wojny niż posiadająca mniejszy potencjał Ukraina.

Dlatego ekipa prezydenta Putina może postawić ekipie prezydenta Trumpa wygórowane, zaporowe warunki rozejmu. Zagrać przy okazji na czas. Wykorzystać sprzeczności interesów gospodarczych między Niemcami, Francją i USA. Spowolnienie gospodarcze w Wielkiej Brytanii. Wybory parlamentarne w Niemczech zmuszające konkurujące partie do eksponowania przede wszystkim niemieckich interesów. Nie zawsze zgodnych z ukraińskimi. Może wykorzystać też osłabienie polityczne prezydenta Macrona. Zamieszanie polityczne w Korei Południowej. Prorosyjskie polityki deklarowane przez premierów Węgier i Słowacji.

Wojna w Ukrainie może jeszcze długo potrwać. Oczekiwany rozejm może być zawarty na rosyjskich warunkach. Niekorzystnych dla Ukrainy. I dla NATO też. Gdyby polskie elity medialne i polityczne zajmowały się realnymi problemami, to od dawna przygotowywałyby się na różne warianty wydarzeń. Zwłaszcza te niekorzystne. Ale jak widać wolą skupiać swój czas, energię i wysiłek umysłowy na rozwiązywaniu kolejnego wykreowanego problemu.

Niestety za te gejzery idiotyzmu płacą polscy podatnicy. Czyli pani, pan i ja też.

PIOTR GADZINOWSKI

eprasa.pl ba820e3b55

Tego pisowcy spod lodówki ci nie powiedzą

Państwo ujemnych plusów

Przez osiem lat PiS wciskało narodowi bajkę o tym, że najcudowniejszym prezydentem RP był śp. profesor Lech Kaczyński. Chyba im coś nie wyszło, bo we wszystkich sondażach eksprezydentów Kwaśniewski bije resztę na głowę. Fajnie byłoby, gdyby taki sam los spotkał najnowszą legendę, którą stara się nam wcisnąć Nowogrodzka – że rządy Zjednoczonej Prawicy zastały Polskę w ruinie, ale wyprowadziły ją niczym za Gierka. Do mocarstwowości, w której Polacy żyli najdostatniej. I nawet nie chodzi o to, że ta narracja PiS to popłuczyny po trumpowskiej „Make America great again", ale że to bezczelność. Nikt bowiem nie grabił dotychczas portfeli Polaków tak jak ludzie PiS, przy okazji wciskając rodakom głodne kawałki z plusem.

Krowa w ciąży plus

Rządowi propagandyści na wyścigi dorabiali plus do każdej możliwej funkcji państwa i sprzedawali to jako genialny pomysł Zjednoczonej Prawicy. Tak powstał program Ciąża Plus. Taki, dzięki któremu – jak zapowiadało PiS – przyszli rodzice nie będą się obawiać, że podczas ciąży nie będzie ich stać na konieczne lekarstwa. Bo tak naprawdę przedsięwzięcie sprowadziło się do tego, że ciężarne dostały recepty na bezpłatne leki. A ponieważ w czasie tych dziewięciu miesięcy kobiety – poza witaminami – nic nie biorą, bo może to zaszkodzić dziecku, to dla budżetu wielki wysiłek to nie był.

Program Dom Kultury Plus – cokolwiek to znaczyło – był *realizowany zgodnie z założeniami Paktu dla Kultury*. A na celu miał *poszerzenie dostępu do kultury, stworzenie warunków sprzyjających rozwojowi współpracy, komunikacji, pobudzenie aktywności obywatelskiej w przestrzeni kultury, wykreowanie warunków sprzyjających nowoczesnej edukacji kulturalnej i artystycznej*. Wszystko to rząd PiS miał uzyskać dzięki wydaniu 1,5 mln zł w ciągu roku. Kwoty, za którą nie udałoby się zbudować nawet niekulturalnego domu.

Inny rządowy program o nazwie Dostępność Plus był pomyślany dla osób starszych i z niepełnosprawnościami. Polegał na tym, żeby były windy i podjazdy dla wózków oraz żeby głusi i niewidomi mogli bez obaw wychodzić z domu. Koncepcję wymusiła Unia, dając na program miliardy euro, które przepadłyby, gdyby nie znalazło się 20 proc. pieniędzy pochodzących głównie z PFRON. Najzabawniejsze, że – wedle rządu – cele zostały zrealizowane. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że program został zakończony w listopadzie 2022 r.?

Kolej Plus to program, w którym kasa była przeznaczona dla samorządów i – jak wskazuje nazwa – dla PKP. W założeniu miał doprowadzenie szyn do miast i miasteczek, do których do tej pory nie dojeżdżały pociągi. Ale też umilenie życia pasażerów i nawet budowę i odbudowę setek małych, nieużywanych od lat – z powodu braku kas na okoliczność kupowanych w internecie biletów – dworców. Po co je odbudowywać, nie wiedział nikt poza firmami mającymi je remontować. Program zrealizowano szczątkowo i to tak, że dziś internet śmieje się z mnóstwa dworców, na których nikt nie wsiada i nie wysiada, bo za miliony złotych wybudowano je gdzieś w polu.

Kaczyński obiecał, że projekt Krowa Plus miał być, więc był. Rząd znalazł pieniądze w puli unijnej i płacił rocznie 595 zł na krowę mleczną. 329 zł przypadało na krowę mamkę. O świniach też pamiętano i w ramach Krowy Plus locha dostawała 301 zł, a tucznik tylko 24 zł. Producenci rolni zarzuceni milionem dotacji na różne rzeczy nie dostrzegli Krowy Plus.

Gdy Gowin zapowiadał program Energia Plus, mówił, że dzięki niemu, czyli głównie unijnym dopłatom, w ciągu roku przybędzie 5 mln Polaków produkujących samodzielnie prąd. Gdy program startował, była mowa już tylko o 50 tys. prosumentów. Jak po roku program rozliczano, doliczono się niecałych 30 tys. domowych minielektrowni, od których państwo nie chciało kupować prądu.

Mieszkanie seniora plus

Pochód plusów zaczął się od programu Rodzina 500 Plus. Najpierw było 500 zł na drugie i kolejne dzieci. Potem na wszystkie. Ale nawet gdy inflacja zjadła 30 proc. wartości tego zasiłku, to Morawiecki i tak miał opory przed zrobieniem 800 plus. Rodzina z nazwy programu wyparowała, bo dokładanie kasy na dzieci dziećmi nie obrodziło.

Stąd pomysł na uhonorowanie kobiet, które rozmnożyły naród, wydając na świat czworo i więcej potomstwa – czyli Mama 4 Plus. Na emeryturę dla matek w ramach tego programu – równą najniższej emeryturze ZUS – mogą liczyć te osoby, które nie pracują, nie mają niezbędnych środków do życia lub mają prawo do emerytury niższej niż minimalna. Mimo dość wybujałych kryteriów beneficjentów tego plusa zrobiło się prawie 100 tys.

Dzięki programowi Mieszkanie Plus miało powstawać rocznie 100 tys. mieszkań na wynajem. Ich czynsze miały być o 30 proc. tańsze niż na wolnym rynku. Co z tego wyszło, nie do końca wiadomo. Według NIK powstało około 35 tys. lokali mieszkalnych. Banki twierdzą, że jakieś 5 tys. A pod koniec rządów PiS Ministerstwo Rozwoju i Technologii twierdziło, że w ramach części rynkowej i społecznej programu Mieszkanie Plus wybudowano ponad 19,8 tys. lokali. Pewne jest tylko to, że wynajmowanie mieszkania plus nigdzie nie było tańsze niż wynajęcie mieszkania na wolnym rynku.

W ramach programu Opieka 75 Plus gminy uzyskują 60 proc. finansowe wsparcie w realizacji usług opiekuńczych dla osób w wieku 75 lat i więcej. Od 2019 r. z usług z Opieki 75 Plus mogą korzystać nawet ludzie po 75. roku życia mający rodziny. Choć program został przejęty przez obecnie rządzących, to ostatnie dane dotyczą roku 2022 i mówią, że wsparciem objęto wtedy 11 223 osoby w 592 gminach na śmieszną w skali państwa kwotę niespełna 29,4 mln zł.

Celem programu Polska Geotermia Plus miało być zwiększenie wykorzystania zasobów geotermalnych w Polsce. Rząd PiS chciał w latach 2019–2025 wyłożyć przedsiębiorcom kwotę 600 mln zł na ciepłą wodę z głębi ziemi. Kwota w porównaniu z realnymi kosztami jest – zdaniem fachowców – śladowa. Ale pewnie chodziło o jedno geotermalne przedsięwzięcie firmy Rydzyka Lux Veritatis.

Był i program POZ Plus, którego podstawowym założeniem było *wprowadzenie opieki koordynowanej na poziomie podstawowej opieki zdrowotnej, tak by to lekarz rodzinny długoterminowo zajął się chorym*. W praktyce sprowadzało się to do tego, że pacjenta wzywano na konsultację. Na początku wypełniał on kwestionariusz, który zawierał około 100 pytań, następnie przeprowadzało się szczegółowy wywiad i wykonywało podstawowe badania. I jak coś było nie tak, to się pacjenta leczyło. Rewolucyjne zaiste.

Kolejnym kuriozum był program Programy Plus. Miał wspierać badania naukowe prowadzone przez wybitnych młodych naukowców, którzy mają mniej niż 35 lat. Co w zasadzie się wykluczało, bo wybitność naukowa wymaga lat. A na dodatek ci naukowcy muszą tak badać, żeby wyszła z tego publikacja w najlepszych światowych czasopismach naukowych. Na to wszystko mieli 24 miesiące. Bo tyle wymyślili na odkrycia twórcy projektu, którzy zapewne kryteria szybkościowe przejmowali z Collegium Humanum.

Celem programu Rehabilitacja 25 Plus dla dzieci i młodzieży z niepełnosprawnością intelektualną było zebranie doświadczeń służących wypracowaniu rozwiązań zapewniających im samodzielność i niezależność w życiu społecznym i zawodowym. Finansował to PFRON, dla którego takie działania z mocy prawa były psim obowiązkiem.

Program Senior Plus wychodził z założenia, że tym, czego osobom starszym najbardziej potrzeba, są dzienne domy i kluby seniora. I dlatego samorządy, jeżeli dołożyły połowę własnej kasy, to dostawały dotacje na utworzenie lub wsparcie takich placówek. Wszak najważniejsze dla emerytów było *zwiększenie ich aktywnego uczestnictwa w życiu społecznym*.

O programie Babcia Plus PiS mówiło, ale osiem lat to było za mało, żeby coś z tym zrobić. I pewnie dlatego „babciowe" i „żłobkowe" wprowadził obecny rząd Tuska.

Dziś te pisowskie programy Nowogrodzka próbuje sprzedawać gawiedzi jako skok cywilizacyjny i społeczny. Tymczasem były po prostu tym, co i tak robiła każda władza.

Dotowano energetykę odnawialną, kluby seniora, domy kultury czy naukowców. Pisowski plus w nazwie był zwykłym zakłamywaniem rzeczywistości.

Ta zaś polegała na zdzieraniu z obywateli ile się da, czyli znakomicie więcej, niż poszło do nich w formie transferów socjalnych. Ukrywano to, wciskając kit, że pieniądze dla ludzi biorą się z uszczelnienia VAT-u. Co może było częściową prawdą, ale tylko w pierwszym roku kaczych rządów.

Rachunki za ubóstwo plus

Na początku posysaniem szmalu od obywateli i przekazywaniem go państwu obarczono banki. Dla ludzi poszedł przekaz o tym, że instytucje finansowe zarabiają za dużo i w związku z tym od teraz z części tych zysków skorzysta budżet państwa, czyli my wszyscy. Wprowadzono więc podatek bankowy, na który zrzucały się nie instytucje finansowe, ale ich klienci – znaczy obywatele, którym banki popodnosiły marże, opłaty i prowizje.

Potem był podatek od foliówek, a nawet od deszczu. Opłatę za opady muszą wnosić wszak właściciele budynków z dachami o powierzchni powyżej 3,5 tys. mkw. Głównie są to zatem hale magazynowe, produkcyjne, elektrownie i galerie handlowe. Oczywiście podatek ten topią w cenie swoich wyrobów.

Państwowe firmy dostarczające suwerenowi prąd i gaz też zaprzęgnięto do ssania pospólstwa. Parę groszy wzrostu na jednej taryfie, kilka na drugiej i finansowy sukces państwa można było odtrąbić. Ponieważ nikt się nie czepiał, PiS poszło dalej i wprowadziło pod szczytnymi hasłami zielonej energii dwa podatki. Oczywiście pod nazwą opłaty. Jedną nazwano opłatą OZE, a drugą opłatą przejściową.

Największy jednak skok w liczbie zbieranych dla państwa pieniędzy odnotował sektor paliwowy. Państwowy, czyli Orlen, a wcześniej i Lotos. Nafciarze dołożyli wysoką marżę, trzykrotnie wyższą niż przed PiS. Generowało to rządowi miliardy przychodów w postaci CIT, dywidendy, a nade wszystko VAT. Oczywiście akcyzy też. Każda więc stacja benzynowa stała się przyczółkiem fiskusa opróżniającego kieszenie obywateli.

Efektem takich rządów jest to, czego stojący przy lodówce politycy PiS nie powiedzą. Że osiem lat ich rządów nie zmieniło nic w skali skrajnego ubóstwa w Polsce. Bo jak twierdzi GUS, w 2015 r. dotykało ono 6,5 proc. Polaków. Gdy zaś władzę oddawali ci, „co kradli, ale się działkowali" – 6,6 proc.

TADEUSZ JASIŃSKI

Życie w dobrobycie

● Mimo tysięcy wakatów, a nawet celnego strzelania jednych policjantów do drugich, przestępczość w Polsce nie rośnie, a na tle innych krajów to jej właściwie nie ma. Zdawałoby się więc, że do roboty, która za dużo pracy nie wymaga, powinno być wielu chętnych. Tymczasem polska policja w zeszłym roku przyjęła w swoje szeregi prawie tyle samo funkcjonariuszy, ile straciła wskutek odejść ze służby. W obliczu nowych przepisów o modernizacji policji, które zakładają zwiększenie liczby etatów do prawie 111 tys., sytuacja z niedoborami kadrowymi się pogłębia. Bo policji jakoś nie wychodzą zaciągi. Od paru lat mimo planów przyjęcia 10 tys. osób udaje się zatrudniać niecałe dwie trzecie tej liczby.

● Może zatem policyjni headhunterzy powinni się uczyć od warszawskiego Zakładu Transportu Miejskiego. Firma ta ogłosiła właśnie zaciąg na kanarów. Kandydaci ubiegający się o tę pracę muszą mieć średnie wykształcenie, a także móc się dogadać po angielsku lub rosyjsku. Wśród wymagań ZTM wymienia również odporność na stres i gotowość do pracy w zmiennych warunkach atmosferycznych, a także dyspozycyjność. Wymagana jest także niekaralność. Nowo przyjęty kanar może liczyć na dodatek stażowy oraz trzynastkę. Firma zapewnia również dofinansowanie wypoczynku, pożyczki, opiekę medyczną oraz ubezpieczenie grupowe. Kontrolerzy mogą też korzystać z ulg w Kolejach Mazowieckich, kart sportowych oraz wsparcia Pracowniczej Kasy Zapomogowo-Pożyczkowej. Poza tym warszawski kanar, w przeciwieństwie do swoich kolegów z Łodzi czy Torunia zarabiających ok. 6,5 tys. zł brutto, może liczyć na znacznie więcej, bo na 8,5 tys. zł brutto miesięcznie. A teraz najciekawsze: robota dla kanarów, mimo opowieści o pakietach pracowniczych, oferowana jest im w formie umowy zlecenia, czyli śmieciówki. Dlatego, gdy ktoś ma dylemat: być kanarem czy gliniarzem, to chyba jednak lepiej tym drugim.

● Zwłaszcza że rząd odstąpił właśnie od ozusowania umów zleceń. To zaś oznacza, że co prawda na rękę zarabia się przy tej formie zatrudnienia więcej, ale na sensowną emeryturę liczyć po czymś takim nie można. Odstąpienie od oskładkowania tej umowy śmieciowej ma się nijak do wielomiesięcznych obietnic rządu związanych z likwidacją umów śmieciowych zwanych ładnie cywilnoprawnymi. Równie nijak ma się to do takiego drobiazgu jak ten, iż likwidacja umów śmieciowych została wpisana do Krajowego Planu Odbudowy pod symbolem A71G. Pisowski jeszcze rząd zobowiązał się więc przed Unią Europejską, że ucywilizuje polski rynek pracy, bo jeśli tego nie zrobi, to nie dostanie pieniędzy z Funduszu Odbudowy. Tymczasem czyniący cuda rząd Tuska śmieciówek nie dotknie, a unijną kasę i tak dostaniemy.

eprasa.pl ba820e3b55

Pamiętajcie o równości

Rys. HENRYK CEBULA

Dotychczas w Polsce nie ma żadnej partii, która by otwarcie wystąpiła jako rzecznik ludzi pracy. Mieści się to w powszechnym wciąż przekonaniu, że

przypływ podnosi wszystkie łodzie, mimo że mamy aż nadto dowodów, że nie. Dlatego opowieści o inwestycjach, rozwoju technologicznym, nowoczesności nie poruszają mas. Bo ludzie wiedzą, że im to nic albo prawie nic nie da. Nic nie skapuje na dół.

Nie trzeba dużo więcej produkować. Wystarczy zacząć sprawiedliwie dzielić, aby i tej dolnej połowie Polaków się poprawiło. Aby 46 proc. pracowników cierpiących z powodu ubóstwa zaczęło z uśmiechem chodzić do pracy.

Walka z korupcją jest ważna, ale ona nie zmieni faktu, że w samorządzie i parlamencie zasiadają wyłącznie tłuste koty. I że nawet jeśli formalnie nie ma cenzusu majątkowego, czyli prawa zakazującego niezamożnym obywatelom, ludziom pracy kandydowania w wyborach, to dzieje się tak, że nie kandydują i nie zasiadają. Póki to zamożni i bogaci identyfikujący się z wielkimi pieniędzmi, do których aspirują, decydują o losach kraju, pozostaniemy coraz bogatszym krajem coraz biedniejszych ludzi.

W swoim, świetnym zresztą, wystąpieniu Adrian Zandberg kilka razy powtarzał, że jesteśmy 20. gospodarką świata. No i co z tego?

PiS, PO – jedno zło. Dobrze, żeby lewicowy kandydat przedstawił model Polski sprawiedliwej, a nie tylko nowoczesnej. W tym celu trzeba się odważyć pójść pod prąd. Bo jak powiedziała mi kiedyś pewna burżujka, *kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana*.

Aby czegoś dokonać w polityce, odcisnąć piętno, dobrze jest popłynąć na fali słusznego gniewu mas. Zwłaszcza jeśli się startuje od dołu, bez kasy i rzuca wyzwanie elitom.

PIOTR IKONOWICZ

Nowocześnie i bogato nie znaczy sprawiedliwie

Adrian Zandberg, lider partii Razem, wystartuje w wyborach prezydenckich. Jego podstawowym hasłem jest wyrzucenie z polityki Tuska i Kaczyńskiego, bo ich zażarty spór odwraca uwagę od spraw naprawdę ważnych dla Polski i Polaków. Zgadzając się z tym postulatem, który wszak nie jest realistyczny, pragnę zwrócić uwagę, że wadą tych dwóch panów jest nie tylko to, że się spierają, ale że walczą ze sobą wyłącznie o władzę, a nie o sprawy zasadnicze. Słowem, żeby ich ograć, trzeba pokazać opinii publicznej, jak bardzo obaj ci ludzie i te obozy polityczne są do siebie podobne.

Emblematycznym przykładem jest list Dudy do Tuska, by roztoczył parasol ochronny nad ściganym listem gończym Binjaminem Netanjahu, jeśli ten zechce przyjechać do Polski. Tusk podzielił troskę prezydenta o los człowieka poszukiwanego za zbrodnie wojenne.

W szczuciu na imigrantów przedstawianych jako zagrażający nam podludzie PO i PiS się wręcz prześcigają. A już zamiar zawieszenia prawa do azylu sprawił, że Tusk się nieco wysforował (wyprzedził Kaczora w wyścigu nienawiści).

PiS próbuje się prezentować jako mniej liberalny i bardziej prospołeczny niż PO. Tylko że to wierutna bzdura. Za rządów PiS-u płace, warunki i standardy zatrudnienia były beznadziejne. Notorycznie musieliśmy protestować przeciw zwalnianiu wbrew prawu działaczy związkowych, nauczyciele strajkowali z powodu głodowych płac, a rząd urządzał na nich nagonkę medialną.

Z kolei na Filipinach stawka łapówki za polską wizę się nie zmieniła, a proceder prowadzi ta sama firma zewnętrzna co za PiS-u. Obie partie bez żenady obsadzają kolesiami partyjnymi spółki skarbu państwa i samorządowe. Zandberg postuluje, aby ustawą zakazać politykom zasiadania w takich spółkach.

Najważniejsze jest jednak to, że ludzie PiS, podobnie jak PO, robią wszystko, żeby dogodzić biznesowi i nie dbają o ludzi pracy. Według Patryka Jakiego Tusk słusznie nie zgodził się z dyrektywą (kamieniem milowym) polegającą na ozusowaniu umów śmieciowych. Podobnie twierdzi, że przedsiębiorcom należy się przywilej polegający na płaceniu niższej niż pracownicy składki ZUS-owskiej. Wtóruje mu redaktor Holecka w telewizji Republika, która przekonuje, że lepsze są *jakiekolwiek miejsca pracy niż żadne*. Mimo wspólnej miłości do najbogatszej grupy społecznej w Polsce, jaką są przedsiębiorcy, Tusk jest wrogiem, ale nie dlatego, że jest liberałem, tylko że jest niemieckim agentem.

Spór klasowy między pracą a kapitałem jest zastępowany sporem narodowym. Zamiast gniewu na niesprawiedliwy podział dochodu – w ramach którego biedniejsza połowa społeczeństwa uzyskuje dochody odpowiadające zaledwie 13 proc. dochodu narodowego – prawica szerzy szowinizm. Frustrację wynikającą z malejących dochodów z pracy i rosnących zysków z kapitału ma rozładować nienawiść do Niemców.

Polska nigdy nie była tak bogata i nigdy nie było w Polsce tylu ludzi ledwo wiążących koniec z końcem.

Tymczasem nawet gdyby Tusk entuzjastycznie budował Centralny Port Komunikacyjny, Dolną Odrę i elektrownie jądrowe, to ci na dole nie mieliby z tego nic. Tak jak nic nie mają z nieustannego wzrostu gospodarczego, bo owoce tego wzrostu zbierają najbogatsi.

Mam nadzieję, że sprawa rozwarstwienia zostanie podniesiona w kampanii prezydenckiej Adriana Zandberga. Bo tej kampanii nie da się wprawdzie wygrać, ale można za jej pomocą przewietrzyć ludziom trochę w głowach i zaatakować niesprawiedliwy system podziału dochodu.

● Trwają propagandowe przepychanki przedwyborcze mające wykazać, za którego rządu było nam lepiej, obecnego czy pisowskiego. I podobnie jak w wojnie między Lidlem a Biedronką wszyscy są najlepsi. Najnowsze dane z tego pola walki mówią o bankrutowaniu polskich firm. Wychodzi z nich, że plajt za Tuska jest o ok. 10 proc. więcej niż rok wcześniej za Morawieckiego.

● Poczta Polska co prawda nie plajtuje, ale jej zarząd poinformował związki zawodowe, że zamierza przeprowadzić zwolnienia grupowe, które mogą dotknąć nawet 8,5 tys. osób. Związkowcy marszczą nosy, bo dotąd władze firmy mówiły im o planowanej redukcji zatrudnienia jedynie poprzez program dobrowolnych odejść. Z czego wynika, że na poczcie nikt pracownikom prawdy nie mówi. A wystarczyło czytać wywiady prezesa Sebastiana Mikosza, żeby wiedzieć, że na zieloną trawkę powinno się szykować nawet 10 tys. osób. Swoją zaś drogą, aby w świecie zakupów w internecie i rosnącej lawinowo liczby przesyłek doprowadzić Pocztę Polską do ruiny, trzeba było być Sasinem.

● Tymczasem człowiekiem, na którego lecą gromy za niegospodarność jest rektor Politechniki Bydgoskiej prof. Marek Adamski. Władze kierowanej przezeń placówki zajechały bowiem na galę w Teatrze Wielkim w Warszawie z okazji rozpoczęcia polskiej prezydencji w Unii Europejskiej nowym samochodem zakupionym przez uczelnię. Lexus LM miał na drzwiach logo uczelni i tablice rejestracyjne z napisem C1 PBS świadczące, że tylko za tę przyjemność Politechnika zapłaciła w urzędzie komunikacyjnym 1 tys. zł. W środku autko ma telewizor dla pasażerów, skórzane fotele z masażem oraz wypasiony system audio z 21 głośnikami. Hybrydowy pojazd według producenta pali 7,5 litra benzyny na 100 km, co jak na hybrydę znaczy, że to smok. Ceny tego modelu zaczynają się od 700 tys. zł i właśnie o to media i urzędnicy czepiają się teraz rektora. Jego rzecznik odpiera ataki, twierdząc, że auto i tak bardziej opłaca się uczelni niż korzystanie z taksówek. A poza tym Politechnika kupiła pięć samochodów: trzy combivany, z czego dwa elektryczne, jeden furgon dostawczy oraz wzmiankowanego Lexusa – w sumie za 1 mln 250 tys. zł. I wara wszystkim od tych wydatków, bo według rzecznika środki pochodzą z oszczędności wygenerowanych na przestrzeni ostatnich kilku lat. Mamy nadzieję, że samochody te służyć będą uczelni przez co najmniej 10 lat.

Rys. WIDGET

● Nikt natomiast nie powie nic złego na to, że Ministerstwo Klimatu i Środowiska w połowie grudnia kupiło Tatrzańskiemu Parkowi Narodowemu cztery elektryczne autka za 3,2 mln zł. Ba, zakup ten ogłoszono jako wielki sukces ministry Pauliny Hennig-Kloski, bo busy miały wozić turystów na trasie do Morskiego Oka, zastępując zajmujące się tym góralskie koniki. Każdym z nowych Mercedesów Sprinterów może podróżować 19 siedzących osób plus kierowca oraz trzy osoby na stojąco. Wszystkie fotele na pokładzie autobusów są wyjmowane, więc nie będzie problemów z wożeniem osób na wózkach inwalidzkich. Każdy z busów wyposażony jest też w windę, która człowieka w wózku zapakuje do samochodu. Jednak różnica między ministerialnym a uczelnianym zakupem nie sprowadza się tylko do ceny. O ile bowiem Lexus politechniki jeździ, o tyle busy Henning-Kloski stoją i szlag je trafia. Nikomu w ministerstwie nie wpadło do głowy skontaktować się z zarządcą drogi do Morskiego Oka, czyli starostą tatrzańskim, a ten po prostu busów na trasę nie wpuścił i nie wpuści. Trasa jest bowiem przeznaczona dla bryczek i pieszych, więc samochody się tam nie pomieszczą. Na dodatek zimą cała droga jest biała, czyli zaśnieżona. Konie i piesi dają sobie z tym radę, a autka nie za bardzo. A droga musi być biała, bo na terenie TPN nie wolno używać soli do rozpuszczania śniegu. Ten zaś będzie zalegał pewnie do maja. Każdy kierowca, a szczególnie ten mający auto elektryczne, wie, że pięć miesięcy bez jeżdżenia każdą taką bryczkę za 800 tys. zł zabije. Ale wtedy – jak u Barei – sporządzi się protokół zniszczenia, bo żaden prokurator nie przyczepi się do ministry za to, że chciała ulżyć doli koni. Które jak nie będą woziły turystów, to pójdą od razu do rzeźni. Ale o tym ani ministra, ani prokuratura pewnie nie wiedzą.

TTJ

eprasa.pl ba820e3b55

Bajki dla myślących

Pakt z diabłem (cd.)

Życie jak darkroom

Spotkałam raz faceta, który chwalił zbawienne dla demokracji zalety jednomandatowych okręgów wyborczych, tzw. JOW-ów. Publicznie głoszona miłość do demokracji nie przeszkadzała mu jednak w ostentacyjnej nienawiści do gejów i – jak mawiał – ciapatych. Przypuszczam, że skrycie przejawiał także jakąś niechęć do kobiet, albowiem pewien mój znajomy gej opowiadał, że kiedyś spotykał go w branżowym klubowym darkroomie. Żeby nieświadomym wytłumaczyć, czym jest w seksklubie darkroom, przytoczę motto z powieści o tym tytule chorwackiej pisarki Rujany Jeger, które brzmi: *Życie jest jak „darkroom", nigdy nie wiesz kto i w jaki sposób cię wydyma, ani też kogo ty wydymasz i jak. Ale to zbyt podniecające, żeby ot tak po prostu wyjść*. No i nie wiem, czy nienawiść do mniejszości tak go podnieca, że nie może z niej *ot tak po prostu wyjść*, a także nie wiem, czy jego „miłość do demokracji" jest porównywalna z jego miłością do kobiet – równie obłudna.

Ale wróćmy do JOW-ów. Ów gość opiewał piękno polskiego senatu jako *izby zadumy i refleksji* i starał się mnie przekonać, że wybierając w ten sposób władzę, obdarzymy ją dużą legitymacją społeczną i wybierzemy najlepszych spośród kandydatów. Oczywiste fakty są natomiast takie, że w okręgu wyborczym, w którym jest jeden mandat, wybory wygra ten, kto zainwestuje najwięcej własnej, partyjnej lub cudzej kasy w kampanię (czyli ani Ty, ani ja, a jakiś krezus, ulubieniec prezesa partii lub może nawet agent) albo jakiś znany z mediów celebryta (to też żadne z nas!). Co więcej, następne wybory w tym okręgu najpewniej także będą należały do niego, bo albo ten celebryta będzie już miał sporo kasy, albo ten krezus będzie już celebrytą. To nie są wybory naszych marzeń, o czym przekonują faktyczne skutki takich wyborów, jak choćby do polskiego senatu i w paru innych obłudnych miejscach tego świata. Tam też nigdy nie wiesz, *kto i w jaki sposób cię wydyma*.

Mam nadzieję, że czytając poprzedni i obecny felieton o demokracji, podzielasz moje zdanie, że nasza kulawa demokracja cierpi na wiele chorób: wybory jako plebiscyty politycznej piękności liderów, milczące na ważne tematy media, świadome manipulacje emocjami wyborców czy wreszcie odklejenie się polityków od codziennej rzeczywistości zwykłych ludzi.

Na skutek choroby nasza demokracja zamiast rzeczników interesów obywateli produkuje sporo różnej maści pojebów. I nie zawsze chodzi o to, że brakuje tym typom inteligencji – często wręcz przeciwnie.

Czasem działa w ich przypadku zaczadzenie umysłu ślepą wiarą w jakąś ideę (kanony religii, wolny rynek czy dowolnie inną teorię spiskową), ale znacznie częściej chodzi o chciwość i żądzę władzy prowadzące do przewagi hipokryzji w działaniu. Jednak to nie całkiem wina polityków. Po prostu przystosowują się do systemu – systemu dominacji polityki rozumianej jako walka o władzę nad polityką rozumianą jako regulacja stosunków społecznych. Skutkuje to przemożną chęcią utrzymania osobistej władzy i wpływów nie tylko w bieżącej, ale i w kolejnych kadencjach – najchętniej do końca życia, a także niechęcią lub niezdolnością do refleksji i działania w interesie większości – zwykłych ludzi. No bo przecież żeby rozumieć interes zwykłego człowieka, trzeba być z nim blisko i wiedzieć, czego naprawdę chce i co mówi, a nie zamelinować się w zamkniętym, strzeżonym osiedlu domów jednorodzinnych jak w spiżowej wieży.

Smutne? To może lepiej wróćmy do naszej bajki o Niosącym Światło Lucyferze i zakontraktowanym przez piekielne moce premierze.

Rys. OBYWATEL JANEK

Wyobraź sobie, że kiedy już nieco opadły w prezesie najgorętsze emocje z powodu wygranych wyborów i zasiadł w wymarzonym fotelu premiera, poczuł wdzięczność do Lucyfera. Stwierdził też, że jego partia, tak jak obiecał diabeł, zdobyła konstytucyjną większość w parlamencie.

„Jest moc" – pomyślał z satysfakcją – „to działamy!".

Pierwsze, co chciał zrobić, to przyjąć delegację lobbystów z branży zbrojeniowej, która właśnie czekała w sekretariacie na audiencję, ale zza fotela odezwał się znany mu tubalny głos:

– Ani się waż, dupku! Bierzesz się teraz za zmiany prawa!

– Tylko nie „dupku" – odparł urażony premier. – Ale jak z tym skończymy, to pogadam z nimi. Dobrze? – zapytał proszącym głosem.

Lucyfer zignorował te uwagi i przystąpił do formułowania poleceń:

– Na początek tylko kilka najważniejszych zmian. Będzie tak: po pierwsze odbierz prezesom partii trochę władzy. Subwencje i dotacje na działalność parlamentarzystów przyznawane mają być bezpośrednio indywidualnym posłom, a nie za pośrednictwem partii. Uniezależni to każdego posła od autorytarnych decyzji liderów partii! Także w tym celu odbierz partiom prawo do ustalania miejsc na listach wyborczych, aby zapobiec wskazywaniu głównych kandydatów. Niech każdy kandydat partii ma równe szanse. Miejsce na liście może przecież być wskazywane przez Państwową Komisję Wyborczą w drodze losowania.

– Ale takie zmiany odbiorą mi władzę... To jak w tych warunkach mam zmieniać prawo? – zapytał z pewną nieśmiałością przewodniczący-premier.

– Jeśli wprowadzisz wszystkie zmiany w prawie, jakie planuję, to będziesz przywódcą charyzmatycznym, ukochanym przywódcą ludu – oznajmił tubalny głos zza fotela. – A po drugie, uchwalicie prawa wprowadzające do systemu panele obywatelskie.

– Mój Boże! A co to?! – zakrzyknął premier.

– Ty mi tu, łachudro, z bluzgami nie wyjeżdżaj! – usłyszał głos i poczuł kuksańca w potylicę. – Cicho siedź i słuchaj, co mówię. Już w starożytnej Grecji sprawdziłem, że reprezentacje obywateli i państwowe funkcje nie zawsze powinny pochodzić z wyborów. Panele obywatelskie to najlepsza reprezentacja obywateli, pochodzi z losowania. W wielu sprawach sprawdzają się świetnie.

Premier teraz już grzecznie słuchał i notował wszystkie słowa Lucyfera. Z notatek wynikało, że panele obywatelskie powinny być tworzone z listy dorosłych mieszkańców kraju w celu wydania opinii w wielu ważnych dla państwa sprawach. Panele takie mogą pracować wirtualnie lub niekiedy plenarnie i w grupach roboczych do rozstrzygania bardziej szczegółowych kwestii. Wyposażane są w materiały informacyjne oparte na naukowo potwierdzonych danych. Mogą korzystać z wiedzy ekspertów powoływanych przez nie do pomocy. W zależności od tematu i rodzaju sprawy efekt ich pracy może mieć charakter zalecenia dla parlamentu albo mogą rozstrzygać określone kwestie. Panele mogą być powoływane do opiniowania lub rozstrzygania zarówno bardzo ogólnych, jak i szczegółowych spraw. Takimi sprawami może być wybór osoby na stanowisko państwowe. Na przykład osób zarządzających instytucjami państwa. Wszędzie tam, gdzie chcemy uniknąć zależności danej instytucji od polityki czy presji kapitału. Panele powinny także być powoływane do opiniowania i projektowania dalekosiężnych społecznych i gospodarczych celów państwa. Po zakończeniu pracy panel jest rozwiązywany.

– To i media publiczne mogą być kontrolowane przez odpowiednie panele obywatelskie? – zauważył premier.

– Oczywiście – zadudnił głos zza fotela. – Niech jednak to, co powiedziałem, będzie twoim pierwszym zadaniem.

Ale te rzeczy to już inna bajka.

ANNA GRODZKA

Na niemieckiej granicy wszystko po staremu.

Na jesieni 2023 r. z powodu niespotykanej do tej pory skali napływu inżynierów z Afryki i krajów Bliskiego Wschodu Niemcy zarządziły kontrole na granicach z Polską, Czechami i Szwajcarią. Niecały rok później graniczne trzepanie przybyszów objęło wszystkie państwa graniczące z Republiką Federalną Niemiec. Premier Donald Tusk ocenił wówczas, że jest to de facto zawieszenie funkcjonowania strefy Schengen, i zapowiedział, że Polska zwróci się do innych państw, których dotyczy decyzja Berlina, o pilne konsultacje w sprawie działania na forum europejskim. Sprawa ucichła, a Niemcy właśnie przyklepali ostateczne przedłużenie weryfikacji wszystkich, którzy chcą granicę przekroczyć.

Mury nie runą

Od 2021 r. corocznie przez kraj nad Wisłą do raju niemieckiego socjalu docierało kilkanaście tysięcy osób. Choć europejskie prawo zakłada, że cudzoziemiec musi złożyć wniosek azylowy w pierwszym kraju, przez który dostał się do UE, Niemcy nie odsyłali migrantów do Polski, uznając, że Warszawa łamie Konwencję Genewską. W końcu jednak Berlin powiedział stop.

Po sygnowanym przez PiS blamażu z aferą wizową i balansie na nastrojach społecznych świeży premier Tusk ochoczo wziął się do roboty z uszczelnianiem wschodnich krańców Polski przed ciapatym najeźdźcą. O tym, że sprawa ma priorytet najwyższej rangi, świadczyło to, że bez żalu posłał w dupę psu na raki tę część swojego elektoratu, która z otwartymi ramionami i smarkiem pod nosem czekała na utulenie umierających w lasach nielegalsów. Jeszcze w październiku ubiegłego roku w trakcie briefingu prasowego podczas wizyty na polsko-białoruskim pograniczu Połowce–Pieszczatka szefowa niemieckiego MSW Nancy Feaser przekonywała ministra spraw wewnętrznych i administracji Tomasza Siemoniaka, że zniesienie haltowania na granicy będzie możliwe, kiedy tylko spadnie liczba prób nielegalnego jej przekraczania przez innowierców o kakaowym odcieniu skóry. Obietnice zgrabnie i nieprzypadkowo zeszły się z deklaracją Tuska o czasowym zawieszeniu polskiej polityki azylowej. Sprawy zdawały się iść w dobrym kierunku, ale wąsaty wuj bombki strzelił. Jak podało niemieckie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, liczba nieautoryzowa-

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Prezydent Chełma, organizator „Wystrzałowego Sylwestra na Lubelszczyźnie", aby mieszkańcom działo się lepiej, zaprosił do występu zespół Boney M., za który zapłacił artystom 250 tys. zł z miejskiej kasy. Boney M., zachodnioniemiecka kapela disco, która odniosła sukces w latach 70., nie istnieje. Już sam ich występ w Sopocie w 1979 r., gdzie wygrali jacht, budził kontrowersje z powodu playbacku, co było zgodne z umową. Członkowie zespołu nigdy nie śpiewali na żywo, o czym informowano na okładkach płyt. Twórcą Boney M. był niemiecki producent muzyczny Frank Farian, ten sam, który stworzył Milli Vanilli, zespół zdemaskowany za playback po zdobyciu Grammy. Farian bronił się, że z Boney M. było tak samo, ale w przypadku Milli Vanilli publiczność czuła się oszukana, bo zespół udawał, że śpiewa na żywo. Boney M. byli od początku jawnym projektem studyjnym, co zmienia postrzeganie całej sprawy. Kto zatem wystąpił w Chełmnie i czy w ogóle śpiewał, to zapewne będzie jeszcze przedmiotem wielu dociekań. Cóż, ćwierć bańki za jeden wieczór milczenia przy mikrofonie to nie w kij dmuchał.

▮ 54-letnia Amerykanka przyleciała z Londynu do Krakowa i… wróciła do Londynu. Dlaczego? Bo miała czelność robić notatki w swoim paszporcie! Pogranicznicy na lotnisku w Balicach, strażnicy czystości dokumentów podróżnych, oburzyli się na takie barbarzyństwo. Wjazd do Polski? Nie ma mowy! Won do Londynu! Ot, krakowska gościnność w pełnej krasie. Czyżby obawiano się, że Amerykanka zapisze w paszporcie jakieś kompromitujące informacje o Krakowie? A może po prostu nie spodobał im się jej długopis?

▮ Szok! Policyjna kolczatka okazała się śmiertelnie niebezpieczna… dla policjanta. 37-letni Polak, uciekając Škodą przed niemieckim prawem, dokonał mimowolnej egzekucji na 32-letnim niemieckim funkcjonariuszu. Policjant w rezultacie zderzenia z pojazdem polskiego kierowcy wywinął orła w powietrzu. Doznał pęknięcia czaszki, złamania ręki i nogi. Zmarł na miejscu. Kondolencje płyną, prokuratura w Cottbus oskarża Polaka o świadome morderstwo, a ja pytam: kto szkolił tego policjanta? Może zamiast kolczatki powinien był użyć… perswazji?

▮ Ukrywający się przed policją z powodu niestawiennictwa do odbycia kary więzienia mieszkaniec Mikołowa chciał coś zjeść. W środku nocy zamówił

Rys. WIDGET

eprasa.pl ba820e3b55

Niemieccy żołnierze montują szlaban na granicy polsko- niemieckiej

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Hände hoch! Papiere!

nych wjazdów wykrytych na granicach między styczniem a listopadem 2024 r. wyniosła niecałe 62,5 tys. w porównaniu do 103,5 tys. w tym samym okresie w roku 2023. Aby tradycji stało się zadość, gdy przed laty przez polską granicę szerokim strumieniem wypływały niemieckie dobra ruchome, tak współcześnie (jeśli wierzyć niemieckim danym) tą samą drogą, lecz w drugą stronę szmuglowano najwięcej zbędnego elementu ludzkiego. Tym samym resort uznał, że kontrole na granicach stanowią *pożądane instrumentarium dla dalszego ograniczania nielegalnej migracji i zwalczania przestępczej działalności przemytników ludzi*. Nancy Feaser, najwyraźniej mając w pompie obiecanki złożone podczas randki z Siemoniakiem, obwieściła, że działania, które dotychczas nosiły znamiona tymczasowych, raczej na stałe wpiszą się w krajobraz kontaktów niemiecko-polskich i przyklepała kontynuację kontroli także po marcu 2025 r. Mieszkańcy strefy transgranicznej dostali wkurwu. Polskie władze nabrały wody w dziób.

Kolejka do nieba

Dla lokalsów z przygranicznych miejscowości wyrywkowe trzepanie na granicy to nie tylko flashbacki z lat 90., kiedy kolejki aut czekających na wjazd do zachodniego sąsiada sięgały po horyzont krajobrazu i ludzkiej wytrzymałości. Przez gigantyczne korki polsko-niemiecką symbiozę dopadł uwiąd z wyjątkową niekorzyścią na rzecz obywateli kraju nad Wisłą. Wiele inwestycji lokowało się blisko polsko-niemieckiej granicy właśnie przez to, że sprawny transport umożliwiał dobre prowadzenie biznesu i możliwość pozyskania do firmy pracowników zarówno z Polski, jak i Niemiec. Właściciele firm spedycyjnych zlokalizowanych wokół przejść granicznych, od miesięcy liczą gigantyczne straty i grożą strajkiem.

W latach 90. kontrole graniczne szły sprawniej, bo działały duże terminale. Obecnie wszyscy stoją w wąskim gardle.

Kara za niedostarczenie towaru w ustalonym terminie potrafi wynieść kilkanaście tysięcy euro. Lekarze i stomatolodzy świadczący opiekę po obydwu stronach z powodu kontroli muszą reorganizować swoją pracę. Niemieckie portfele mniej chętnie otwierają się przed polskimi usługami i handlem, bo nikomu nie chce się kwitnąć godzinami w kolejce do okazania dokumentów. Funkcjonowanie tysięcy ludzi doznało paraliżu. Minister spraw zagranicznych Niemiec w odpowiedzi na pisma polskich przedsiębiorców wyraził żal, ale gówno zrobi, bo Niemcy muszą się czuć bezpiecznie.

Na początku roku Jakub Woliński, który mieszka w okolicy mostu Jana Pawła II łączącego dolnośląski Zgorzelec z saksońskim Görlitz, wytoczył proces za kontrole graniczne Federalnej Republice Niemiec (sprawę rozpatrzy sąd w Dreźnie). Mężczyzna twierdzi, że zgodnie z zasadami strefy Schengen takie kontrole w ogóle nie powinny mieć miejsca, a utwierdził się w tym przekonaniu, kiedy 13 funkcjonariuszy niemieckiej policji przez ponad 100 minut trzepało jego auto tylko dlatego, że oprócz małżonki i dzieci wiózł w nim sofę. Rachunek za mebel był po polsku, więc patrol uznał, że może być na nim napisane wszystko. Wylegitymowano Wolińskiego, jego żonę i dziatwę. Przeszukano nie tylko samochód, ale i sofę. Woliński nie wierzy, że proces cokolwiek zmieni, ale liczy, że zwróci w ten sposób uwagę na absurdalną sytuację mieszkańców pogranicza. Frankfurt i Słubice postanowiły wydać dla mieszkańców wspólny kalendarz, w którym zaznaczono dni z największym ryzykiem utknięcia w granicznym zatwardzeniu: wakacje w Polsce i Niemczech, długie weekendy, święta i tak dalej. Na razie Niemcy kontrolują co piąte, dziesiąte auto, ale wszyscy obawiają się, co będzie, jeśli zaczną sprawdzać każde.

Ziemie olane

Niefortunnie dla sumiennie betonującego wschodnią granicę Donalda Tuska i rzeszy obywateli w kraju poparcie dla kanclerza Olafa Scholza w Niemczech zaczęło szorować po dnie, by ostatecznie pogrzebać jego rząd w mule. U zachodnich sąsiadów przed wyborami panuje wielka obawa przed prawicową partią AfD, która gra tematem migracji. Partie koalicji rządzącej robią wszystko, by wybić im z rąk te argumenty i przez przedłużenie kontroli na granicach chcą stworzyć atmosferę podwyższonej dbałości o bezpieczeństwo rodaków.

Problemem polskiej strony jest nie tylko tzw. szlak białoruski, którym do Unii Europejskiej próbują dostać się cudzoziemcy z Bliskiego Wschodu czy Afganistanu. Największą grupą zatrzymywanych na granicy cudzoziemców są obywatele Ukrainy. Tylko do września ubiegłego roku zatrzymano ich blisko 6 tys. Od wybuchu wojny Ukraińcy mają prawo do bezwizowego wjazdu na teren UE, ale po pierwsze, muszą mieć paszport biometryczny, a po drugie, muszą do danego kraju przyjechać zaraz po ucieczce. Jeżeli przebywali dłużej np. w Polsce, prawa takiego nie mają. Klops w tym, że zjełczali od polskiej gościnności Ukraińcy coraz częściej pakują manele i właśnie w Niemczech wypatrują lepszej przyszłości, a Berlin postanowił ostatecznie skończyć z gościnnością.

Wszystko wskazuje na to, że rząd Tuska skupiony na wyborach prezydenckich raczej nie zainterweniuje w sprawie bolączek obywateli z Ziem Odzyskanych. Zachodnie województwa od lat są mało wymagającym betonowym elektoratem Platformy Obywatelskiej, nad którym najwyraźniej nie warto się pochylać, dopóki korek od granicy niemieckiej nie sięgnie Warszawy. Powolne wykrwawianie się biznesów w strefie przygranicznej zdaje się być niewielkim kosztem dla pozytywnych relacji premiera z Niemcami.

IDALIA DUBICKA

zapiekankę na stacji benzynowej. Zapiekanka była zimna. Zadzwonił na policję, aby coś z tym zrobili, zwłaszcza że jego zdaniem serwująca przekąskę była pijana. Policja przybyła i stwierdziła, że kobieta jest wprawdzie trzeźwa, ale zapiekanka rzeczywiście zimna. Jednak zamiast na meritum funkcjonariusze skoncentrowali się na tym, że facet jest poszukiwany. Głodny trafił do aresztu. Jak ktoś się ukrywa, to trzeba być konsekwentnym i odpornym na przeciwności losu.

■ Natomiast policjanci z Wydziału Poszukiwań i Identyfikacji Osób komendy we Wrocławiu zatrzymali w Zakopanem poszukiwanego od dekady mężczyznę, za którym wydano ponad 30 listów gończych. Po kilku zmianach tożsamości, ukrywaniu się w kraju i za granicą wpadł w jednym z luksusowych hoteli. Odpowie przed sądem za liczne oszustwa i fałszerstwa. *Zbieg, pomimo zaskoczenia, nie stawiał oporu, wręcz poczuł ulgę, że to chyba koniec uciekania* – twierdzą funkcjonariusze. Wniosek: jeżeli ukrywasz się przed policją, to luksusowe hotele, zwłaszcza w Zakopanem, są kiepską kryjówką.

■ Zgodnie ze światowym rankingiem, w którym uwzględniono 500 aglomeracji z 62 krajów świata, opracowanym przez holenderskie przedsiębiorstwo produkujące nawigację samochodową TomTom Traffic, najbardziej nieprzejezdnym miastem w Polsce jest Wrocław. W rankingu światowej nieprzejezdności zajmuje 44. miejsce. Poznań jest na 68. miejscu, Łódź – na 84., Warszawa – na 121. Średni czas przejazdu 10 km przez Wrocław wynosi 28,56 min, a przeciętny wrocławianin poruszający się po mieście autem spędza na staniu w korkach 107 godz. rocznie. W Warszawie analogiczne wartości wynoszą 23,25 min i 90 godz.

■ Zgodnie z danymi GUS-u z ubiegłego roku w Polsce pracowało 1 041 600 cudzoziemców z ponad 150 państw. Zgodnie z danymi ministerstwa od pracy w ubiegłym roku w urzędach zarejestrowanych było 846,5 tys. bezrobotnych Polaków. Nie są to wszyscy pozostający bez pracy, ale na oko widać, że problem bezrobocia w Polsce mógłby nie istnieć. Oczywiście to tylko cyferki.

Rys. WIDGET

■ W podwarszawskiej Jabłonnie doszło do groźnego incydentu z udziałem agresywnego mężczyzny, który zaatakował policjantów widłami. Mimo wielokrotnych poleceń wydawanych przez funkcjonariuszy napastnik nie zaprzestał. Zastosowanie środków przymusu bezpośredniego takich jak gaz łzawiący i paralizator okazało się nieskuteczne. W obliczu zagrożenia życia i zdrowia policjant był zmuszony oddać strzał ostrzegawczy, a następnie dwa strzały w kierunku agresora, raniąc go w nogi – twierdzi rzecznik Prokuratury Okręgowej Warszawa-Praga, Norbert Woliński. Napastnik został przewieziony do szpitala, gdzie pozostaje pod opieką medyczną. Fakt, że przeżył, może jednak utrudnić prokuraturze dokładne ustalenie przebiegu zdarzenia. Policjant, który użył broni służbowej, nie odniósł obrażeń i nie został jej pozbawiony. W związku z tym incydentem zaleca się mieszkańcom Jabłonny zachowanie szczególnej ostrożności w pobliżu placówek policyjnych oraz unikanie noszenia przy sobie przedmiotów mogących posłużyć jako broń, takich jak widły.

■ Finansowe tarapaty dotykają coraz więcej miast. Wśród nich znalazło się Zabrze, które stanęło wobec konieczności wykupu obligacji krótkoterminowych na kwotę 75 mln zł do końca 2024 r. Sytuacja jest poważna, gdyż grozi miastu wymówienie umów dłużnych na znacznie większą kwotę – 168 mln zł. Jednym z głównych obciążeń dla budżetu Zabrza jest finansowanie klubu piłkarskiego Górnik. Rozbudowa stadionu, pierwotnie szacowana na 148 mln zł, okazała się znacznie droższa, wymagała dodatkowych 58 mln zł. Ta sytuacja potwierdza tezę, że inwestycje w sport, choć ważne dla prestiżu i rozwoju lokalnej społeczności, mogą prowadzić nie tylko do fizycznych urazów, ale i do finansowego krachu.

■ W Olecku aresztowano burmistrza i przedsiębiorcę z Podlaskiego za korupcję przy przetargu na zimowe utrzymanie dróg. CBA ustaliło, że burmistrz wziął łapówkę, a pośredniczył w tym radny, który również usłyszał zarzuty. Procedura przetargowa uniemożliwiła udział innym firmom. Łącznie postawiono zarzuty 16 osobom, głównie pracownikom magistratu. Zawieszenie burmistrza oznacza paraliż w gminie i realne problemy z odśnieżaniem dróg w przypadku ataku prawdziwej zimy. No chyba, że sąd orzeknie wobec włodarza nakaz prac społecznych na rzecz miejscowej wspólnoty.

■ Burmistrz miasta W. sam siebie pozwał do sądu. A raczej burmistrz – jako organ założycielski spółki komunalnej – pozwał burmistrza jako szefa miasta. Powód? Podatek od nieruchomości budynków wodno-kanalizacyjnych. Wojewódzki Sąd Administracyjny w Gliwicach, zapewne z trudem powstrzymując śmiech, uznał, że tak się nie robi. I całe szczęście, bo inaczej burmistrz mógłby jeszcze sam siebie skazać na zapłacenie podatku, a potem sam sobie ten podatek umorzyć. A tak przynajmniej zaoszczędzono czas i papier. Szkoda tylko, że nie wiemy, o jakie miasto chodzi i kim jest ten kreatywny burmistrz (rozprawa była niejawna). Pewnie chciał się zapisać w historii prawa. I udało mu się.

■ Warszawa w 2025 r. przeznaczy na straż pożarną 5 mln zł. Tyle z miejskiej kasy. Resztę – bagatela – 155,1 mln zł zapłaci państwo. Z czego 141,5 mln zł pochłoną strażackie wynagrodzenia. Na energię, jedzenie, sprzęt i inne drobiazgi zostanie 13,6 mln zł. Wojewoda dorzuci jeszcze 16,5 mln zł. Czyli warszawscy strażacy będą mieli za co gasić pożary. I dobrze, bo kto by chciał płonąć w stolicy bez należytej opieki?

■ W Pobiednej niedaleko Lubania (woj. dolnośląskie) policjanci zauważyli pędzącego Peugeota. Kierowca na widok radiowozu przyśpieszył. Funkcjonariusze, zamiast zrozumieć delikatną sugestię, ruszyli w pościg. Efekt? Kobieta za kierownicą z ośmioma zakazami prowadzenia pojazdów, fałszywymi blachami w bagażniku i metamfetaminą w żyłach oraz w hurtowych ilościach. Morał? Trochę empatii, panowie policjanci, nie zaszkodzi.

■ Pomorze zasypane śniegiem. 42 tys. odbiorców bez prądu. Energetyczny armagedon. Apokalipsa. Koniec cywilizacji, jaką znaliśmy. Pornhub nie działa. To prawdziwa tragedia.

RJ

PS Wieści pochodzą z prasy regionalnej – za prawdziwość nie ręczymy. Niemniej, treść pouczająca i seksowna.

eprasa.pl ba820e3b55

Tęsknota za sprawstwem

Na marginesie „Kroniki obrzędów żałobnych”

Jako wierna czytelniczka OKO.press załapałam się na pokaz stworzonego pod egidą portalu filmu dokumentalnego zatytułowanego „Kronika obrzędów żałobnych” i spotkanie z twórcami. Terminu „film dokumentalny” używam w ujęciu dość swobodnym – jest to bowiem materiał cokolwiek propagandowy, choć niewątpliwie intrygujący. Opowiem, w razie jakby ktoś nie widział.

Film nakręcił Robert Kowalski, dziennikarz związany z „Krytyką Polityczną”, twórca cyklu „Kamera OKO.press”. To, co rzuca się w oczy – to pozornie chaotyczny, ale niezwykle błyskotliwy montaż. Kowalski opowiada o 175 miesięcznicach smoleńskich – choć sam był na niespełna 100, od 76 do 170. Nie ma w filmie chronologii ani nawet napisów, które jakoś porządkowałyby kolejne obrazki; przeskakujemy z zimy w lato, z pandemii w czas bezmaskowy, z etapu wieczornych pochodów do porannych zgromadzeń. Efekt jest zaskakująco odświeżający – a przede wszystkim śmieszny.

Śmiejemy się, oczywiście, z nabzdyczenia wyznawców i szafarzy religii smoleńskiej: moja ulubiona scena jest taka, w której

żołnierze ćwiczą złożenie wieńca bez wieńca, z piąstkami zaciśniętymi na wysokości klatki piersiowej. Dyryguje nimi generał o wymownym nazwisku Głąb: *No, ślicznie wyglądacie, ale spróbujmy jeszcze dystansik złapać, tak żeby każdy z chłopaków stał na innym stopniu. O, pięknie.*

I na koniec generał mówi do prowadzącego próbę sierżanta: *Nie mam zwyczaju, jak pan wie, wpieprzać się w takie sprawy, ale...* – co niewątpliwie dowodzi, że z zasady się wpieprza.

Śmiejemy się też z występów Lotnej Brygady Opozycji – grupy performerów, którzy ośmieszali to nabzdyczenie, przebierając się to za oddział wojska – z tekturowym czołgiem obsadzonym na elektrycznym wózku inwalidzkim – a to za katoprocesję. Jedna z zakonnic śpiewa – z tym charakterystycznym księżym zaśpiewem, z miejsca rozpoznawalnym dla każdego, kto wychował się w katolickim kraju: *Przychodzimy tutaj co miesiąc, zapytać o wraaak Tuuupoleva...* Zajebiście śmieszna jest scena, w której policjant usiłuje aresztować wielką europejską flagę, z którą jeden z demonstrantów wspiął się na schody pomnika smoleńskiego, facet ucieka, policjant go goni, wyszarpując mu flagę z takim zapałem, że zawija się w nią jak w kokon i pada na bruk.

Z drugiej strony, wiele scen budzi u mnie reakcję daleką od śmiechu, a mianowicie – jak mówi młodzież – krindż. Czyli skręt z zażenowania. Dotyczy to zarówno nieporadnego sekatorowego ataku Jarosława Kaczyńskiego na tablicę Zbigniewa Komosy *(Pamięci 95 ofiar Lecha Kaczyńskiego...)* i bezsilności prezesa siłującego się z wieńcem, który przez dłuższą chwilę próbował wepchnąć do swojej limuzyny – jak i przepychanek i szarpania się aktywistów z policją, obelżywych okrzyków zza kordonu. Jest w tym coś, co mnie nieodmiennie krępuje; jakiś rodzaj niepoważnej zawziętości, która ośmiesza nie tylko zawziętego, ale i sprawę, za którą się zawziął. Przypomnijcie sobie scenę z posłem Sterczewskim galopującym po granicy z torbą z Ikei: bezsprzecznie w słusznej sprawie, ale jednak jakoś głupawo.

I pojawiła mi się jeszcze jedna emocja – być może najważniejsza: mam nieprzyjemne poczucie, że w drwinach z religii smoleńskiej jest jednak sporo klasizmu.

Pamiętam taką piosenkę z kabaretu Olgi Lipińskiej z 1991 r.: „Balcerowicz wyciął nam numer” – gdzie społeczeństwo jest przedstawione jako lumpenproletariat niedorosły do kapitalizmu; obiektywnie śmiesznie, ale całkiem okropnie. Był to pierwszy raz, kiedy uwielbiana przez mnie Lipińska szczerze mnie oburzyła. Dekady później rozmawiałam zresztą z Olgą na ten temat i przyznała, że dziś takiej piosenki by nie dała. Mam wszakże poczucie, że nie wszyscy mają tę refleksję. W filmie Kowalskiego sporo jest obrazków, które wprost wyśmiewają takie właśnie nieco lumpenproletariackie oblicze wyznawców religii smoleńskiej: poorane twarze, rzadkie zęby, ta sugestia nieszczególnie wyższego wykształcenia i niekoniecznie zdrowego życia. Nie wątpię, że takie twarze pojawiały się na miesięcznicach – i nawet nie jest tak, że Kowalski je jakoś specjalnie wyszukuje i eksponuje – ale mimo wszystko jakoś ilustruje to owo wszechogarniające poczucie wyższości, które towarzyszy antypisowi w starciu nie tylko z politykami, ale także z wyborcami PiS.

Rys. TOMASZ WIATER

W dyskusji po projekcji udział wzięło z pół tuzina mędrców – ale moją uwagę zwróciła dwójka reprezentująca zbiorowego bohatera filmu: Paweł Kasprzak z Obywateli RP i Julia Łowkis z Lotnej Brygady Opozycji. To dwa etapy antymiesięcznicowego aktywizmu. Obywatele RP stali z białymi różami wzdłuż trasy pochodów smoleńskich; Kaczyński uznał wtedy białą różę za *symbol skrajnej nienawiści.* Lotna Brygada, ze swoim radosnym performansem, przyszła po nich – kiedy stanęły schody, pochody się skończyły, a jasełka przeniosły na plac Piłsudskiego.

Jakoś tam zaskakujące jest to, że Łowkis, która wszak zbudowała swoją polityczną aktywność na żarcie z zasady wymagającym dystansu – do obecnej władzy tego dystansu zdaje się nie mieć w ogóle.

Usłyszeliśmy zatem jej monolog na temat tego, że pojawia się *cień zarzutu do obecnego rządu – że wolno postępują wszelkie zmiany.* Pani Łowkis nie podziela zdania malkontentów: już wychodząc na protest 3 grudnia 2015 r. wiedziała bowiem, że *czeka nas długi maraton, a nie sprint – i to samo dotyczy sprzątania po PiS.* Pani Łowkis uważa, *że jesteśmy w stanie wojny i dlatego być może jest duże prawdopodobieństwo, że obecna władza nie dzieli się z nami, obywatelami, wszystkim, bo po prostu nie może.* A dlaczego nie może? Bo Ruscy: *Jarosław Kaczyński jest mniej lub bardziej projektem Putina, bo gra tak, jak Moskwa sobie wyobraża.* Jedynym postulatem, jaki pani Łowkis miała pod adresem władzy, było *zorganizowanie biura prasowego rządu,* które – między innymi – *codziennie powtarzałoby, na czym polega kłamstwo smoleńskie.* Nie wiem, jak Państwo, ale ja odczuwam niejaki dysonans pomiędzy ironicznym dystansem, jaki Lotna Brygada Opozycji wykazywała wobec poprzedniej władzy, a ślepą wiarą, jaką darzy obecną.

Paweł Kacprzak niezaskakująco – bo zawsze wyróżniał się spojrzeniem nie tylko trzeźwym, ale także dziwacznie symetrystycznym – przedstawiał znacznie mniej bezkrytyczny punkt widzenia. Odnotowując nie tylko, że np. zakazanie religii smoleńskiej byłoby jawnym pogwałceniem wolności – ale także, że jego działalność, i działalność Obywateli RP en bloc, poniosła klęskę, ponieważ nie stała się zarzewiem pozytywnej obywatelskiej aktywności; jej formuła ograniczyła się do protestu.

Kaczyński – mówił Kacprzak – stworzył swoistą szansę, która została zaprzepaszczona: *Liczyliśmy, że ta dramatyczna okazja wielkiej smuty skłoni nas wszystkich do poszukiwania alternatywy; poszukiwania obywatelskiego sprawstwa. Dzisiaj rzekomo wygraliśmy, ale koniunktury na szukanie nowego, alternatywnego sprawstwa w polityce – nie ma.*

Co tu mówić: chłop ma rację. I biorąc pod uwagę, jak wielka grupa polityków i aktywistów ciągle trawi całą swoją energię na walczenie z rządem, który od roku już nie rządzi – nie wygląda na to, żeby to się miało zmienić.

AWŁ

Czas polskiej głupoty

Książki do czytania

Na pewno nieraz ostatnio słyszeliście określenie „pożyteczny idiota”. Używają go często polscy prawicowi politycy, komentatorzy polityczni i konserwatywni moraliści. Zwykle wobec krytyków rusofobicznej postawy polskich mediów, zauważających ich bezalternatywność i krótkowzroczność. W odwecie zostają „ruskimi onucami” albo w wersji soft „pożytecznymi idiotami Putina”.

Bo w polskiej debacie politycznej ten synonim naiwniaka, w dobrej wierze kierowanego złudzeniami i pobożnymi życzeniami, wspierającego polityków, którzy go potem chętnie wykorzystują, zostało zredukowane do roli szantażu politycznego. Służy oczernianiu ludzi często ideowych, ale z wrogich formacji politycznych.

Zapewne ci prawicowi moraliści nie wiedzą, że mówią językiem Włodzimierza Lenina. On to w artykule „Cenne wyznania Pitirima Sorokina” szyderczo sumował porewolucyjne złudzenia polityka opozycyjnej wobec bolszewików lewicowej partii eserowców. Potem na emigracji wybitnego socjologa. Zapewne nieraz słyszeliście deklarację: *ja się polityką nie zajmuję*. W II Rzeczypospolitej dodawano do niej lizusowskie: *od polityki to ja mam Piłsudskiego*. Potem Piłsudskiego zastępował Rydz-Śmigły albo prezydent Mościcki. Ale na jesieni 1939 r. polityka dopadła wszystkich obywateli II RP, nawet zdeklarowanych apolitycznych.

Dziś też można próbować odseparować się od polityki, ale i tak szybko nas dopadnie. Lepiej spróbować tak żyć z nią, aby dodatkowo nie zgłupieć. Pomaga w tym książka Mirosława Karwata „Panoptikum polskie”. Niezwykle ciekawa analiza socjotechnik współczesnej polskiej polityki, bo Mirosław Karwat fachowym politologiem jest. Do tego też profesorem. Prawdziwym, nie medialnym. Specjalizującym się w analizie podstępnych form wpływów, czyli manipulacji.

Dlatego lektura „Panoptikum polskiego” wyjaśnić może te najważniejsze polityczne manipulacje. Wszystkim, bo napisana jest językiem żywym, zrozumiałym, wolnym od pseudonaukowego żargonu.

A bystrzejszych czytelników może nauczyć, jak żyć, aby nie zostać ciemnym ludem, co robić, by nie dać się wrobić w kolejny przekręt na polskiego patriotę.

Najpierw jednak warto otworzyć swój umysł. Odrzucić dające błogość niemyślenia proste prawdy i schematy. Pogodzić się, że polityka materią żywą jest. Złożoną i zaskakującą.

Bo jeśli zaczniemy przyglądać się aktywnym instytucjom, to wiele z tych deklarujących swą apolityczność ukaże swój polityczny charakter. Dlatego profesor Karwat proponuje rzetelne, uczciwe definiowanie uczestniczących w polityce przeróżnych bytów.

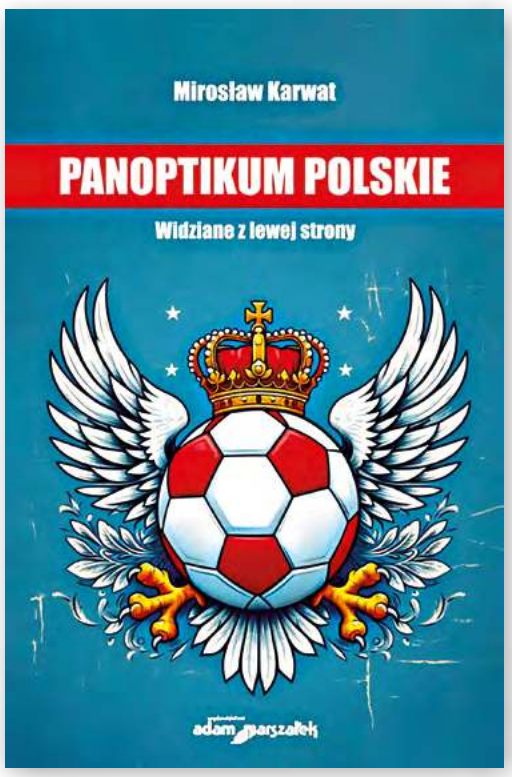

Zatem nie nazywajmy apolityczną instytucji, która pełnić może liczne polityczne role. Nie określajmy znanego aktywisty społecznego jako apolitycznego, skoro niektóre efekty jego działalności wpisują się w polityczne taktyki i strategie największych graczy politycznych.

Nie nazywajmy też kandydata na polityka apolitycznym albo obywatelskim tylko dlatego, że nie jest on formalnie członkiem lansującej go partii politycznej.

Historia polityki zna wielu nienależących do partii politycznych aktywistów, których podstawowym zadaniem partyjnym była medialna bezpartyjność.

W Polsce pełno jest polityków strojących się w apolityczne szaty, bo zakłamanie i hipokryzja to fundamenty naszej polityki. Dochodzi powszechna obłuda krajowych polityków i ich zagorzałych niczym piłkarscy kibole żelaznych elektoratów.

Nie dziwmy się, że w polskiej klasie politycznej i zastępów ich kibolskich fanów obowiązuje moralność Kalego znana z powieści Henryka Sienkiewicza. Krytycznego wobec ówczesnych polskich elit, ale wpisującego ją w usta afrykańskiego poczciwca.

Ta moralność Kalego stale pojawiała się w naszej historii. Także jako zasada, że sprawiedliwość sprawiedliwością, ale wyroki sądów zawsze muszą być na naszą korzyść.

Wiarę w nieuchronność takich „sprawiedliwych” wyroków dodatkowo umacniał powszechny infantylizm polskiej polityki. Głoszący wyjątkowość Polski i Polaków jako narodu przez Boga i historię wybranego. Postrzegających politykę nie jako grę interesów, tylko zapisane boskie fatum. Oceniane wedle polskich moralnych reguł, czyli moralności Kalego.

Dlatego polski polityk regularnie deklaruje swą ideowość i przywiązanie do fundamentalnych wartości, zwykle konserwatywnych, katolickich, bez trudu porzuci zaślubioną partię i zadeklarowane poglądy, jeśli to zagwarantuje mu reelekcję. Tylko krowa nie zmienia poglądów – wyda potem oświadczenie. A jego wyborcy ucieszą się, że nie wybrali krowy, tylko polityka z polskiej krwi i kości. Z niekwestionowanym „genem polskości”.

Mówi się, że pycha polityka zawsze kroczy przed jego upadkiem. W Polsce zawsze taka pycha idzie w parze z ignorancją, ogłupieniem. Jeśli nie chcesz w naszym kraju władzy pysznej i głupiej, zacznij swe działania od lektury „Panoptikum polskiego”.

PIOTR GADZINOWSKI

Mirosław Karwat, „Panoptikum polskie. Widziane z lewej strony”, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2024.

eprasa.pl ba820e3b55

Kiedy „Bóg zapłać” nie wystarcza

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Będą bulić

Każda informacja, że kler będzie płacił, a nie klerowi zapłacą, jest na wagę złota. Choć kościelne budynki złotem ociekają, ich zarządcy bardzo niechętnie sięgają do skarbca, by się podzielić. Zmusić może ich do tego tylko sąd, ale zawsze walczą do ostatniej instancji, żeby urwać choć kilka złotych.

Granice diecezji i bezczelności

Klimat się zmienia nie tylko w przyrodzie. Od pewnego czasu sądy jakoś mniej obawiają się baronów w sutannach. Cieszą takie wyroki jak ten w sprawie Janusza Szymika, który ma otrzymać od diecezji bielsko-żywieckiej 400 tys. zł zadośćuczynienia za to, że molestował go ks. Jan W. Zaczęło się, gdy Szymik miał 12 lat, a jego koszmar ciągnął się od 1984 do 1989 r. Ksiądz W. był od 1979 r. sekretarzem metropolity krakowskiego Franciszka Macharskiego (który zastąpił na tym stanowisku Wojtyłę), a w 1983 r. został proboszczem w rodzinnym Międzybrodziu, gdzie „służył” – mimo powszechnej wiedzy o jego prowadzeniu się – aż do 2014 r. Molestowanie było zgłaszane do Dziwisza i bepe Rakoczego, ale Jan W. miał zbyt mocne plecy, żeby się przewrócić.

Sprawa Janusza Szymika w sądzie rozpoczęła się w 2022 r. Domagał się on od diecezji 3 mln zł. Pełnomocnikiem mężczyzny jest znany z naszych łamów Artur Nowak zajmujący się kościelnymi aferami zarówno jako adwokat, jak i pisarz. Nowak uważa, że kwota zasądzona na rzecz Szymika jest *rażąco niska* i zapowiada apelację. Linia obrony kurii bielsko-żywieckiej jest bardzo sprytna. Prawnicy biskupa uważają, że ich klient nie powinien płacić, bo w czasach, gdy do przestępstw dochodziło, diecezja… nie istniała. Rzeczywiście, diecezja bielsko-żywiecka powstała w 1992 r. w ramach reorganizacji administracyjnej dokonanej przez JP2. Utworzono wówczas wiele nowych diecezji, bo chętnych do biskupstwa było wielu, ale katedr mało. Koledzy Dziwisza i ówczesnego nuncjusza Kowalczyka dostali więc upragnione fioletowe fatałaszki. A dziś mogą się bezczelnie tłumaczyć, że nic nie są nikomu winni, bo kiedyś mapa wyglądała inaczej. Jak wpadną na pomysł, żeby jeszcze raz powyznaczać nowe diecezje, to już nikt nigdy nie będzie mógł się domagać żadnych pieniędzy.

Gorący ziemniak

Wina ks. Jana W. była bezsprzeczna, ale odpowiedzialność się rozmywa. *Nie ulega wątpliwości, że ksiądz Jan W. był proboszczem parafii św. Marii Magdaleny w Międzybrodziu Bialskim od 1984 r. aż do 2014 r. Nie ulega wątpliwości, że zebrany w sprawie materiał dowodowy i powód zgłaszał w 1993 r. i w 2007 r. Brak reakcji biskupa Tadeusza Rakoczego powodował, że powód, który zamieszkiwał w tej miejscowości, zmuszony był do codziennego uczestnictwa we mszy właśnie w tym kościele i do widywania się z księdzem W. podczas uroczystości kościelnych. Dla powoda były to spotkania bolesne, trudne emocjonalnie i przypominały mu o znanej z dzieciństwa traumie* – uzasadniała sędzia Marzena Buszka, ale uwzględniła wątek nowego podziału administracyjnego polskiego Kościoła kat. Teraz zapewne rozpocznie się ping-pong, kto ma płacić: Kraków czy Bielsko-Biała. Z wyroku nie do końca zadowolony jest także Janusz Szymik. *Spodziewałem się trochę innego rozstrzygnięcia. Sąd uznał tylko za zasadne wzięcie odpowiedzialności diecezji za zaniechania biskupa Tadeusza Rakoczego. Zobaczymy, jak do tego podejdziemy. Najprawdopodobniej złożę apelację w tym zakresie. Uważam, że tak jak powiedział kardynał Stanisław Dziwisz, że to nie jest jego sprawa, że to jest sprawa bielska. Nawet kardynał stał na stanowisku, że to sprawa diecezji bielsko-żywieckiej, a nie sprawa archidiecezji krakowskiej. Każdy dzień przez te trzy lata był przesiąknięty stresem, ustawicznym myśleniem, czy w ogóle da się to wszystko udowodnić. Dla mnie to może jest pocieszające to, że wszystkie winy, przestępstwa, jakich dopuścił się na mojej osobie Jan W., zostały bezsprzecznie udowodnione. De facto dzisiaj jest najważniejszy dzień w moim życiu. Myślę, że jeszcze trochę pożyjemy i dojdziemy do wyroku ostatecznego* – mówił po ogłoszeniu wyroku.

Nieodpowiedzialni

Szukanie kruczków prawnych, byle tylko wymigać się od płacenia, to bardzo w stylu biskupów. Oczywiście każdy ma prawo do obrony, adwokaci zaś są po to, żeby wyszukiwać nieścisłości, ale w tak oczywistych sprawach jak ta Janusza Szymika wypadałoby się trochę zastanowić, czy niecałe pół bańki jest tego warte. W świat idzie przekaz, że biskupi zrobią wszystko, byleby tylko nie uszczuplić swojego konta. Pomysłów na to, jak uniknąć strat finansowych, jest mnóstwo. W sprawie Janusza Szymika zagrano kartą nieistnienia diecezji. Bepe Andrzej Jeż z Tarnowa, gdy ośmiu byłych ministrantów domagało się łącznie 12 mln zł za molestowanie przez byłego księdza diecezji tarnowskiej, uderzył w inne tony. *Trudno, ażeby odpowiedzialnością zbiorową za przestępstwo dokonane przez konkretnych ludzi obarczano całą wspólnotę diecezji. Diecezja tarnowska utrzymuje się z ofiar wiernych, a więc to przede wszystkim oni zostaliby obarczeni zadośćuczynieniem za przestępstwo, które popełnił konkretny człowiek* – napisano w komunikacie kurii. Gdy przychodzi co do czego, to nie znają człowieka. W dodatku kodeks prawa kanonicznego umożliwia każdemu księdzu oskarżonemu o molestowania złożenie do papieża prośby o *przeniesienie do stanu świeckiego*. Zanim proces cywilny się skończy, sprawca często nie jest już w firmie, więc tym łatwiej można się go wyprzeć. A i sam oskarżony cieszy się, że według prawa kościelnego jest niewinny, bo papiescy urzędnicy nic mu nie udowodnili. Wszyscy wygrywają poza ofiarami oczywiście, ale kto by się nimi przejmował. Kawałki o tym, że trzeba się troszczyć o najsłabszych i skrzywdzonych, są dobre w kazaniach, a nie w praktyce sądowej.

Bankruci

Innym sposobem (u nas jeszcze nieprzetestowanym), żeby uniknąć odpowiedzialności finansowej za zwyrodnialców w sutannach, jest ogłaszanie bankructwa. Ten model ucieczki jest popularny zwłaszcza w USA, gdzie upadłość ogłosiło już wiele diecezji. Pojawiały się czasem w Polsce entuzjastyczne głosy, że diecezje zbankrutowały i to koniec Kościoła w Ameryce, tymczasem to kolejny wybieg prawny, który stosują klechy, żeby zabezpieczyć swój stan posiadania. Milionowe roszczenia tysięcy ofiar uruchomiają wyobraźnię i kreatywność. Stany słyną ze skutecznych prawników, a Kościół jest dobrym klientem. Mechanizm ten tłumaczyła w „Tygodniku Powszechnym” Marie Reilly, profesor prawa z Uniwersytetu Stanowego w Pensylwanii: *Ogłoszenie bankructwa to w praktyce „ekonomiczny” sposób na wypłatę odszkodowań ofiarom nadużyć seksualnych. Zamiast sądzić się z każdym z osobna i opłacać wysokie koszty procesowe, diecezja trafia pod „ochronny parasol”. Wraz ze złożeniem wniosku o ogłoszenie upadłości wszystkie sprawy toczące się przeciwko diecezji są zawieszane i trafiają pod jurysdykcję sądu upadłościowego. To, jakiej wysokości odszkodowanie otrzymają ofiary, zależy od żmudnego procesu negocjacji między reprezentantami diecezji, firmami ubezpieczeniowymi i wierzycielami. Nigdy nie zdarzyło się, by w ramach procedury upadłościowej diecezja musiała np. zamknąć jeden ze swoich kościołów. Znacznie częstszym scenariuszem jest sprzedaż ziemi, która nie jest potrzebna do bieżącego funkcjonowania diecezji.*

Trucizna duchowa

Polski kler musi się powoli oswajać z myślą, że będzie coraz bardziej pod górkę. Roszczeń będzie przybywać, a wiernych (a co za tym idzie – pieniędzy) – ubywać. Do odrobienia mają lekcję, którą przeszły już Kościoły zachodnie. Weźmy takie Niemcy. Jedna z najbogatszych tamtejszych diecezji, archidiecezja kolońska, dysponuje majątkiem wycenianym na ponad 3 mld euro. Naturalnie jej władze nie chcą się za bardzo tym dzielić, zwłaszcza z „wrogami Kościoła”, którzy oczerniają jego funkcjonariuszy zarzutami o nadużycia seksualne

Od 2010 r., czyli od ujawnienia pierwszej głośnej sprawy pedofilskiej w niemieckim Kościele, wspomniana archidiecezja wydała dwa razy więcej pieniędzy na prawników i specjalistów od wizerunku, niż wypłaciła ofiarom. Tak to się robi! Zamiast przyznać się do winy i próbować ją naprawić, lepiej dbać o wizerunek.

Korporacje produkujące trucizny też mają ogromne budżety na dbałość o dobrą prasę. Nadwiślański episkopat pozbawiony jest niemieckiej zapobiegliwości i póki co strzela sobie w kolana, wydając kolejne kuriozalne oświadczenia, a jak się jakiś biskup odezwie osobiście, to pożal się Boże. Na prawnikach może i nie oszczędzają, ale PR leży. Może to i lepiej, bo przynajmniej nie mydlą ludziom oczu. Bankructwo moralne polskiego Kościoła i upadłość kleru widoczne są gołym okiem. Ale dopiero materialna zapaść może wyrównać rachunki krzywd.

MATT KOBOSKO

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Doskonała wiadomość dla farbowanych katolików: w sieci pojawił się sklep z zaświadczeniami kościelnymi. Klienci za pośrednictwem strony internetowej mogą nabyć papiery o odbytej przed chrztem spowiedzi (koszt 50 zł) lub glejt potrzebny do zostania rodzicem chrzestnym (koszt 200 zł). Jak piszą usługodawcy, dokumenty stanowią pamiątkę z ważnych wydarzeń religijnych, posiadają wszystkie ważne pieczątki z podpisami, ale są elementami „kolekcjonerskimi”. Po setkach pozytywnych opinii klientów wnosimy, że osobliwe pamiątki cieszą się wyjątkową popularnością.

✚ Młodzi mężczyźni z Gorlic wpadli na pomysł, jak sobie dorobić, licząc na hojność parafian. Przebrani za ministrantów udawali, że prowadzą zbiórkę na rzecz kościoła Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Gorlicach. Za cel obrali sobie m.in. mieszkania przy ulicach Kopernika i Krakowskiej, które należą do innej parafii, co wzbudziło czujność wiernych. Przebierańców nie udało się schwytać, nie wiadomo też, ilu osobom udało się wcisnąć kit. Panowie w kwestii wyciągania datków muszą się jeszcze wiele nauczyć od kolegów z Watykanu.

Rys. OBYWATEL JANEK

✚ W powiecie strzeleckim w woj. opolskim w najlepsze trwa proceder kradzieży figur i obrazów świętych znajdujących się przy drogach. Na ich miejsce wstawiane są karykaturalne podobizny. W Łaziskach nieznany sprawca zwinął figurę św. Anny, pozostawiając styropianowego Jezusa, który miał ręce obwiązane sznurem. Wymiana artefaktów została zakwalifikowana przez policję jako kradzież i obraza uczuć religijnych. Widocznie mundurowi nie znają się na sztuce.

✚ Sąd w Bielsku-Białej zobowiązał diecezję bielsko-żywiecką do wypłaty 400 tys. zł odszkodowania Januszowi Szymikowi. Mężczyzna jako dziecko padł ofiarą wykorzystywania seksualnego przez klechę z Międzybrodzia Bialskiego. Ksiądz Jan W. wykorzystał seksualnie Szymika kilkaset razy. Władze diecezji bielsko-żywieckiej stały na stanowisku, że diecezja nie powinna płacić odszkodowania, bo w czasie gdy dochodziło do przestępstw, nie istniała. Szymik informował o sprawie biskupa Tadeusza Rakoczego w 1993 i 2007 r., ale ten nie zareagował. Sprawą zajął się dopiero następca bepe Rakoczego, bp Roman Pindel. Szymik domagał się 3 mln zł odszkodowania. Jego pełnomocnik zapowiedział apelację.

✚ Do Sądu Rejonowego w Limanowej trafił akt oskarżenia przeciwko księdzu Rafałowi S., byłemu wikaremu z parafii Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w małopolskim Tymbarku. Prokuratura zarzuca księżulkowi dwa przestępstwa przeciwko wolności seksualnej z art. 197 par. 1 Kodeksu karnego, który dotyczy m.in. gwałtu. Widełki za te harce przewidują od 5 do 12 lat pozbawienia wolności. Nie zapadła jeszcze decyzja, o jaką karę dla oskarżonego będzie walczył przed sądem prokurator.

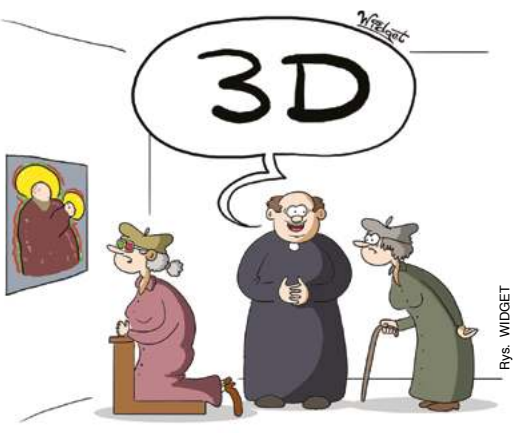

Rys. WIDGET

✚ Caritas diecezji płockiej musi zwrócić Państwowemu Funduszowi Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych 19 mln zł. To efekt długoletniego procesu sądowego. Sprawa sięga lat 2006–2008, kiedy PFRON przekazał Caritas diecezji płockiej kilkanaście milionów złotych z unijnych dotacji. Pieniądze miały zostać przeznaczone na programy aktywizacji zawodowej osób niepełnosprawnych. Liczne nieprawidłowości w zarządzaniu dotacją skłoniły w końcu PFRON do wejścia na ścieżkę sądową. Niestety, za finansowy wałek nie odpowie odpowiedzialny za współpracę między Caritasem a PFRON-em ks. Jerzy Z., ponieważ jego sprawa uległa przedawnieniu. Klechę skazano jedynie za zlecanie podrabiania dokumentów finansowych na rok więzienia i prace społeczne.

KLECHA

eprasa.pl ba820e3b55

Trump na Księżycu

Czyja ziemia niczyja?

Czy zatknięcie przez Amerykanów flagi na Księżycu oznacza, że cały Księżyc stał się własnością USA? Chyba nie. Ale gdy przyjdzie się naszym potomkom podzielić Srebrnym Globem, to Amerykanie powiedzą pewnie coś w rodzaju: myśmy byli pierwsi i należy się nam połowa. W podziale ziem niczyich nic nie jest proste.

Na pytanie, czy USA mogłyby użyć wojska, aby przejąć władzę nad należącą do Danii Grenlandią, Donald Trump odpowiedział, że tego nie wyklucza. Odpowiedź to zaiste buńczuczna i byłaby nawet skandaliczna, gdyby Trump dawno już nie utracił zdolności robienia skandali. Jako że sam jest jednym wielkim skandalem, nie może już niczym i nikogo zaskoczyć ani zgorszyć.

USA napadające na państwo członkowskie NATO – to byłby spektakl nie lada. Tak się jednak nie stanie, bo amerykańskich żołnierzy jest na Grenlandii wielokrotnie więcej niż białych misiów.

A że nie widać ich w miasteczku Nuuk będącym stolicą Grenlandii, to głównie dlatego, że w tej dziurze nic nie ma. Różnica między amerykańską okupacją i jej brakiem jest więc dość iluzoryczna. USA zawsze chciały mieć kontrolę nad tym terenem i ją mają. W każdym razie w zakresie wojskowym.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Jednak stawka Grenlandii z czasem rośnie. Ocean Arktyczny odmarza i coraz bardziej realne stają się plany stworzenia nowej północnej drogi handlowej. Interesują się tym i Chiny, i Rosja. Może byłoby niegłupio, gdyby USA miały w tych okolicach najwięcej do powiedzenia. Jednakże Grenlandia to nie tylko strategicznie położona wielka śnieżna wyspa. Powoli lód będzie ustępować, a zasoby ukryte pod ziemią będą się stawać coraz dostępniejsze. A chodzi o ropę i wiele ciekawych a drogich minerałów. Pytanie, do kogo to wszystko ma należeć, staje się coraz bardziej interesujące.

W teorii jest tak, że w demokratycznym świecie ziemia należy do jej mieszkańców, którzy mają prawo utworzyć tam państwo. A jeśli jest to wyspa należąca już do jakiegoś państwa, to wyspiarze, zwłaszcza mający własny język i kulturę, mają prawo wypowiedzieć się w referendum, czy chcą niepodległości. Tak to wygląda dzisiaj. Ale jest też starsze, wręcz archaiczne prawo ziemi. Mówi ono, że kto objął jakąś bezludną ziemię w posiadanie, ten ma do niej prawo. Tak powstawały kolonie. Wprawdzie gdy Anglicy przypływali gdzieś do Afryki czy Azji, by zagarnąć jakąś krainę, to byli tam już jacyś ludzie, lecz zawsze można ich było zakwalifikować do dzikich, czyli podludzi, i zastosować odwieczne i „naturalne" prawo kolonizatora do ziemi, którą zagospodarowuje.

I jak to się ma do Grenlandii? Ta wielka (ponad sześciokrotnie większa od Polski) wyspa została kilkaset lat temu skolonizowana przez Duńczyków. Oczywiście, zarówno rdzenni Grenlandczycy, jak i kolonizatorzy zajmowali niewielki ułamek lodowej pustyni, ale skoro na mapie widać wyspę, to nie było przeszkód, aby prawem „logiki obrazkowej" dopisać do mapy Danii całe to bezkresne i bezludne pustkowie. I tak się też stało. Malutka Dania cieszy się z posiadania wielkiej a pustej kolonii. No, nie całkiem pustej, bo mieszka tam jakieś 56 tys. osób. I jak to w demokracji bywa, mają niemałą autonomię i aspiracje niepodległościowe.

I tu zaczyna się etyka. Czy naprawdę głos decydujący w sprawie statusu Grenlandii powinien należeć do Grenlandczyków? Otóż sprawa wcale nie jest oczywista. Nawet jeśli zasady są jednoznaczne, to realia czasami nakazują zasady zakwestionować. A realia to najczęściej jakaś złożoność nieprzewidziana przez rządzącą zasadę albo nietypowy stan faktyczny. I właśnie z tym mamy do czynienia w przypadku Grenlandii. Otóż Grenlandia nie może być niepodległa i nie może należeć do Grenlandczyków, bo jest ich zbyt mało, aby mogli być suwerenni, a wyspa jest zbyt duża i ważna, aby prawa całej ludzkości do całej planety nie przeważały nad prawami 56 tys. ludzi do punktowo zamieszkiwanej przez nich nader rozległej ziemi. Tym bardziej, że żyjąc jedynie na małym jej skrawku, za jedyny powód, dla którego poczuwają się do władania całą wyspą, mają jej integralność jako pewnego wydzielonego w naturalny sposób terenu. Ale to za mało. Grenlandczycy mają prawo do autonomii i ją posiadają. Nie mogliby jednakże udźwignąć niepodległości, bo ich życie codzienne na europejskim poziomie jest i musi być przez kogoś dofinansowywane. I akurat jest dofinansowywane przez Danię. Fakt, że rdzenni Grenlandczycy zamieszkują mały fragment Grenlandii, a poza nimi nie ma tam już nikogo, nie znaczy, że mają prawo do suwerennej władzy nad całą wyspą. Nadal jest to wyspa w zasadzie bezludna, a tym samym należąca do całej ludzkości.

Tylko że to nie Grenlandczycy panują nad Grenlandią, lecz Duńczycy. A ich jest nie 56 tys., lecz ponad 5 mln. Niedużo, ale zawsze to sto razy więcej niż mieszkańców Grenlandii. Cóż, Duńczycy faktycznie tę Grenlandię mają i mają do niej prawo. Tyle że nie spełniają warunku prawa ziemi, którym jest gospodarowanie na zajętym dziewiczym terenie. Nie gospodarują tam, bo na razie nie za bardzo jest czym. Wieje, zimno i w dodatku górzyście.

I co teraz? Jak to wszystko urządzić, żeby Rosjanie z Chińczykami sobie zaraz po swojemu nie „zagospodarowali" Grenlandii i okalających ją wód, zagrażając Zachodowi militarnie i gospodarczo, a jednocześnie żeby prawa Duńczyków i Grenlandczyków zostały uszanowane? Problem ten próbują rozwiązać dyplomaci amerykańscy i europejscy co najmniej od czasów II wojny światowej, kiedy to zakusy na daleką północ objawili Niemcy. Amerykanie ich stamtąd wykurzyli, ale całościowej koncepcji, co ma być z tą Grenlandią, wciąż nie ma. A czas nagli. Ciekawe, czy pojawienie się w Waszyngtonie prawdziwego troglodyty nie okaże się triggerem, czyli spustem, który wreszcie uruchomi jakiś polityczny proces prowadzący do rozwiązania problemu grenlandzkiego.

JAN HARTMAN

Chaos w państwie Drakuli

Co zrobić, kiedy wybory wygrywają nie ci, co powinni?

Jeśli lud zachowa się nieodpowiedzialnie, to elity mają dwa wyjścia. Albo – jak twierdzi gruzińska opozycja z prezydent Salome Zurabiszwili na czele – uznać, że wybory zostały sfałszowane i domagać się ich ponownego przeprowadzenia. Albo – jak ostatnio w Rumunii – posłużyć się Trybunałem Konstytucyjnym i wybory po prostu unieważnić.

Przy czym za każdym razem, gdy poparcie ze strony wyborców uzyskują partie bądź osoby niepożądane, automatycznie wskazuje się na Rosję; tak jak było w przypadku Gruzji. Z kolei w Mołdawii wybory prezydenckie na terenie kraju wygrał – uważany za prorosyjskiego – Alexandr Stoianoglo. Jednak dzięki niewielkiej nadwyżce głosów mołdawskiej diaspory prezydentem została wybrana Maia Sandu. Gdyby wynik wyborów był inny, niechybnie trąbiono by o tym, że ukradła je Rosja. A ponieważ zwyciężyła hołubiona przez Zachód Sandu, to uznano to – choćby w opinii takich prominentnych postaci jak Biden, Von der Leyen, Borrell i oczywiście Zełenski – za triumf demokracji nad rosyjskimi atakami hybrydowymi.

Teraz na tapecie znalazła się Rumunia. Unieważniono tam pierwszą turę wyborów prezydenckich, ponieważ najwięcej głosów uzyskał antyzachodni i prorosyjski kandydat Calin Georgescu.

Powstaje w tym momencie pytanie: skoro Rosja jest na tyle wszechmocna, że może sobie ustalać, kto ma rządzić w poszczególnych krajach, to dlaczego nie udało się jej w Mołdawii? A może narracja o wszechogarniających kremlowskich mackach to po prostu propagandowy mit?

Wyborcza niespodzianka

Według sondaży i przepowiedni ekspertów w pierwszej turze wyborów prezydenckich najwięcej głosów zdobyć mieli: premier i lider prozachodniej – jak niemal cała europejska socjaldemokracja – Partii Socjaldemokratycznej (PSD) Marcel Ciolacu oraz przewodniczący skrajnie prawicowego Sojuszu na rzecz Zjednoczenia Rumunii (AUR) George Simion. Wyszło inaczej. Faworyci uplasowali się dopiero na trzecim i czwartym miejscu. Wyprzedził ich nie tylko Calin Georgescu z wynikiem 22,95 proc. głosów, lecz także Elena Lasconi (19,17 proc.). Po wyborczej porażce Ciolacu – który przegrał z Lasconi różnicą zaledwie 0,2 proc. – zrezygnował ze stanowiska szefa partii. Rumuński politolog Cristian Pirvulescu uważa, że wynik wyborów pokazał ogromną przepaść między klasą polityczną a rumuńskim społeczeństwem. Można by do tego dodać również przepaść pomiędzy fachowością ekspertów i rzeczywistością.

Georgescu znany jest z radykalnych prawicowo-nacjonalistycznych oraz antyzachodnich poglądów. Gloryfikował profaszystowski i antysemicki Ruch Legionowy z okresu międzywojennego oraz faszystowskiego premiera Iona Antonescu z czasu II wojny światowej. Jednak te historyczne sympatie są mniej istotne w porównaniu z jego koncepcjami odnoszącymi się do polityki zagranicznej. Jest on przeciwny członkostwu Rumunii w Unii Europejskiej i NATO. Umieszczenie bazy NATO na terenie Rumunii określił jako hańbę dyplomacji. Co więcej, Georgescu prezentuje wyraźnie prorosyjskie stanowisko. Uważa, że to USA planowały i sprowokowały wojnę na Ukrainie a *rosyjska mądrość jest szansą dla Rumunii*. Wypowiadał się też na rzecz wstrzymania pomocy dla Ukrainy.

Całkowicie przeciwstawne stanowisko wyraża natomiast Lasconi, która głosi: *powinniśmy pomagać Ukrainie w zwycięstwie*, gdyż – jeśli Ukraina odda swoje terytoria – *Putin się nie zatrzyma*. Nawołuje też NATO do zwiększenia swojej obecności w Rumunii. Lasconi zdobyła ponad połowę głosów rumuńskich obywateli w Mołdawii; wobec nieco powyżej 3 proc., jakie otrzymał Georgescu. Uzyskała również wsparcie ze strony Sandu, która w tym celu przybyła do Bukaresztu. Mówiła o tym, że Mołdawia bardzo liczy na rumuńską pomoc w jej staraniach o wstąpienie do UE. A to, że powiedziała to w trakcie rozmowy z kandydatką na prezydenta, oczywiście nie jest żadną ingerencją w wewnętrzne sprawy Rumunii. Co innego, gdyby Putin rozmawiał z Georgescu, nawet nie osobiście, choćby tylko telefonicznie. Wówczas potraktowano by to jak bezpośrednią ingerencję ze strony Moskwy.

Niewygodny zwycięzca utrącony

Sukces wyborczy Calina Georgescu – a zwłaszcza perspektywa jego zwycięstwa w drugiej turze – wywołały prawdziwy popłoch w sferach rządzących. A prawdopodobnie również w Unii Europejskiej obawiającej się kolejnego Viktora Orbána. W tej sytuacji pozostały dwa wyjścia.

Albo uruchomić zmasowaną akcję medialną przeciwko Georgescu, albo nie dopuścić do drugiej tury wyborów i anulować wyniki tej pierwszej. Wybrano ten drugi, łatwiejszy do realizacji wariant. Najpierw Trybunał Konstytucyjny nakazał ponowne przeliczenie głosów, co spotkało się ze sprzeciwem ze strony obojga zwycięskich kandydatów. Zdaniem Georgescu, instytucje państwowe próbowały podważyć wolę wyborców. Również Lasconi oświadczyła, że decyzja Trybunału jest absolutnie przerażająca w demokratycznym państwie. Można by tu dopatrywać się zarówno pryn-

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

☆ Podczas konferencji prasowej zapytano Donalda Trumpa, czy mógłby zapewnić, że nie użyje przymusu militarnego ani ekonomicznego, próbując przejąć kontrolę nad Kanałem Panamskim i Grenlandią. Trump odparł: *Nie, nie mogę zapewnić ani jednej z tych dwóch kwestii. Ale mogę powiedzieć, że potrzebujemy [Grenlandii i Kanału] do bezpieczeństwa ekonomicznego.* Bezpieczeństwo jest najważniejsze.

☆ Ambicje terytorialne Trumpa skomentował zastępca redaktora naczelnego „Przeglądu" Roman Kurkiewicz: *Co prawda amerykańskie władze jeszcze nie ujawniły, by Inuici gromadzili broń masowego rażenia, co wymagałoby inwazji wojsk amerykańskich (vide Irak), ale argument o bezpieczeństwie ekonomicznym już na stole leży. (…) To wszystko nie jest aż tak niedorzeczne, jak mogłoby się wydawać. Wszak całą potęgę USA zbudowano na zawłaszczeniu ziemi „niczyjej", wymordowaniu rdzennych mieszkańców, ewentualnie zamknięciu ich w rezerwatach, przejęciu złóż ropy i innych bogactw naturalnych. W tym aspekcie mrzonki Trumpa wynikają z samego rdzenia amerykańskiego snu o potędze, a wszystko zostało podlane antychińskim i antyrosyjskim sosem. Jeśli odcedzimy pierwiastki szaleństwa, to otrzymamy samą istotę amerykańskiej hegemonii.* Jak wiadomo, kolor niebieski na amerykańskiej fladze oznacza ziemie ukradzione Indianom, biały – tysiące niewolników na plantacjach ojców założycieli USA, czerwony – rozpętywanie operacji pokojowych na całym świecie, zielony zaś – zwycięstwa w walkach z wietnamskimi i afgańskimi farmerami.

☆ À propos terytorialnych podbojów, ciekawymi spostrzeżeniami podzieliła się na łamach „Krytyki Politycznej" ukraińska filozof Olga Mucha: *Zachód podbijał zamorskie terytoria, skupiając się na eksploatacji ekonomicznej. Natomiast Rosja od zawsze wchłaniała sąsiednie terytoria, zmuszając je do asymilacji kulturowej. W podbijanych narodach widziała podobnych sobie, braci, twierdząc, że „zawsze byliście nasi". Tak robi do dziś.* Zważywszy jak wyglądała kolonizacja Afryki przez państwa Europy Zachodniej, Rosja za swój model kolonializmu winna dostać pokojowego Nobla.

eprasa.pl ba820e3b55

Ilustr. PAWEŁ FERENC

cypialnego poparcia dla demokracji, jak i obawy przed wyeliminowaniem jej z drugiej tury.

Skoro przeliczenie głosów nie zmieniło wyniku wyborów, to Trybunał musiał uznać ich ważność. Jednak na dwa dni przed planowaną na 8 grudnia drugą turą po prostu ją anulował. Ponownie zareagowali zwycięzcy z pierwszej rundy. Georgescu nazwał to oficjalnym zamachem stanu, natomiast Lasconi stwierdziła, że powinno odbyć się normalne głosowanie – po to, by uszanować wolę narodu. Odmiennego zdania był Marcel Ciolacu, który – niezaskakująco – ogłosił, że Trybunał podjął właściwą decyzję.

Unieważnienie wyborów tłumaczono tym, że z odtajnionych przez Naczelną Radę Obrony Kraju dokumentów wynika, że jeden z kandydatów – niewymieniony z nazwiska, choć wiadomo, o kogo chodzi – był masowo promowany na platformie społecznościowej TikTok za pośrednictwem skoordynowanych kont, algorytmów rekomendacji, płatnej promocji, tudzież rosyjskiej zorganizowanej manipulacji w postaci agresywnych ataków hybrydowych. Jednak żaden ze specjalistów cyber-hipertechnologii nie wyjaśnił, w jaki sposób pojawienie się owych skoordynowanych kont i algorytmów rekomendacji miałoby wpłynąć na to, na kogo głosowała większość wyborców.

Georgescu – jak podkreślali liczni komentatorzy – zdobył głosy młodych ludzi (głosowała na niego niemal jedna trzecia osób w wieku 18–24 lata), dzięki filmom emitowanym setki tysięcy razy na platformie TikTok. W sumie jego filmiki miały ponad półtora miliona odsłon, przez co zresztą nazywano go tiktokowym prezydentem.

Wygląda na to, że Georgescu powtórzył manewr Zełenskiego, który również wygrał wybory prezydenckie bez politycznego zaplecza, w wyniku popularności, jaką zyskał dzięki masowo oglądanym programom telewizyjnym.

Podobnie jak Zełenski, Georgescu był postrzegany jako kandydat pozasystemowy – co skądinąd nie jest do końca prawdziwe. Zajmował on szereg stanowisk w ministerstwie ds. środowiska – jest doktorem w dziedzinie gleboznawstwa; był też przedstawicielem Rumunii w komitecie ONZ zajmującym się ekologią. Faktycznie jednak nie był powiązany z żadną strukturą polityczną. Co więcej, jego profaszystowskie i antysemickie poglądy były nie do strawienia nawet dla skrajnie prawicowego AUR, z którego został wykluczony.

Niektórzy komentatorzy zwracają uwagę, że Trybunał Konstytucyjny nie cieszy się w kraju zbyt dobrą reputacją. Jest oskarżany o brak politycznej niezależności i o podejmowanie decyzji wyborczych w sposób dowolny. Przykładem tego ma być fakt, że odmówił rejestracji jednej ze skrajnie prawicowych kandydatek, choć innych polityków o takich poglądach dopuścił do startu.

Powtórka z wyborów

Skoro wybory zostały unieważnione, należałoby przeprowadzić nowe. Są z tym jednak problemy. Jeden polega na tym, że nie do końca wiadomo, czy zwycięzcy pierwszej tury powinni być dopuszczeni do powtórnych wyborów. Dotyczy to zwłaszcza Eleny Lasconi, którą uwalono razem z Georgescu.

Drugi problem związany był z tym, że datę wyborów wyznacza rząd, którego tworzenie napotykało na poważne problemy. Choć wybory parlamentarne odbyły się 1 grudnia, nowy rząd – z dotychczasowym premierem Marcelem Ciolacu na czele – zaprzysiężono dopiero dzień przed Wigilią. Ciolacu zapowiedział powtórzone wybory prezydenckie na 4 i 18 maja 2025 r., obiecując, że odbędą się *w normalnych warunkach, a nie hybrydowej rzeczywistości narzucanej z zewnątrz przez państwa wrogie Rumunii*.

Do całego tego zamieszania dołączył także urzędujący prezydent Klaus Iohannis, który ogłosił, że pozostanie na swoim stanowisku do momentu wyboru nowej głowy państwa, choć jego kadencja skończyła się 21 grudnia. W ostatnią niedzielę ultraprawicowy AUR zorganizował w Bukareszcie protest, na który przyszły dziesiątki tysięcy ludzi (zdaniem organizatorów 100 tys.; zdaniem policji – 20 tys.). Demonstranci domagali się ustąpienia prezydenta Iohannisa i doprowadzenia wyborów do końca – przeprowadzenia drugiej tury z udziałem zwycięzców z listopada. Według sondażu przeprowadzonego w grudniu przez Rumuński Instytut Ewaluacji i Strategii, 62 proc. Rumunów źle ocenia decyzję TK o unieważnieniu zeszłorocznych wyborów. Zadowolonych z niej jest 35 proc.

BŁAŻEJ KAJETAŃCZYK

WIARA CZYNI CZUBA

1. Shamsud-Din Jabbar – który w sylwestrową noc wjechał pick-upem przyozdobionym flagą Państwa Islamskiego w tłum bawiący się na Bourbon Street w Nowym Orleanie – zostawił nagrania, w których wykłada swoje religijne przekonania. Otóż *poezja taka jak rapowanie* zachęca ludzi *do rzeczy, których Bóg zakazał: środków odurzających, takich jak marihuana, alkohol, środki uspokajające, opioidy, stymulanty i inne.* Muzyka z kolei *zachęca nas do niemoralnego seksu, wulgarności, przemocy, zdrady, arogancji, włamań, oszustw, niewdzięczności wobec naszych małżonków i innych osób*, co dowodzi, że jest *głosem szatana,* który *popycha nas do marnowania naszego bogactwa, zrywania więzów krwi, a nawet do bałwochwalstwa, wzywając nas do oddawania czci artystom*. Jabbar zabił 14 osób, zanim sam został zastrzelony przez policję. Inszallah.

2. Na nabożeństwie w Apostolskim Kościele Prawdziwego Wina w Hampton w stanie Wirginia młoda dziewczyna ze szlochem przepraszała kongregację za to, że jest w ciąży. Odpowiedział jej pastor Terry W. Jackson: *Kościół modli się za ciebie, ale potępiamy twój grzech. Nie będzie żadnych baby shower. Kiedy dziecko jest nieślubne, nie ma żadnych imprez. Żeby nikt mi na taką nie poszedł i twoja mama niech nie próbuje organizować…* Ponieważ Kościół ów ma zwyczaj transmitowania swoich nabożeństw na żywo na Facebooku, wydarzenie spotkało się z niejakim odzewem. W odpowiedzi głos zabrała mama, która ochrzaniła oburzonych publicznym upokorzeniem jej córki: *Zakłócacie mój spokój, wyrządzacie więcej szkody niż dobrego, mącicie w moim Kościele, okazujecie brak szacunku dla mojego pastora*. Chrześcijańskie miłosierdzie w pełnej krasie.

3. Podniecona zwycięstwem Trumpa chrześcijańska prawica walczy o kapelanów w szkołach publicznych. Walce przewodzi Rocky Malloy, nawrócony przemytnik narkotyków, szef Narodowego Stowarzyszenia Kapelanów Szkolnych. Ostatnio wystąpił w prawackim programie „Prawda i Wolność". *U nas w Kolorado jest lewicowy rząd i mocno naciskają, aby mieć opiekę psychiatryczną, pełnoprawnych specjalistów od zdrowia psychicznego w każdej szkole* – powiedział zaniepokojony gospodarz programu, po czym dodał, że to *diabelska wersja* planu Rocky'ego. Rocky się zgodził: *Dr Lisa Miller zeznała przed Kongresem, że brak opieki duchowej zapewnianej przez kapelanów w rzeczywistości powoduje choroby psychiczne. Kiedy prowadzą uczniów do tych specjalistów, po prostu wzmacniają złe decyzje dzieci. Kiedy kapelan jest na kampusie, ma możliwość przedstawienia alternatywnego poglądu na życie, co ratuje życie*. Modlitwa i wstrzemięźliwość – to prawdziwy ratunek dla młodzieży w kryzysie psychicznym.

4. Brytyjski organ nadzoru reklamowego ASA zakazał kampanii reklamowej Wahed Invest, która hasło *Dołącz do rewolucji pieniądza* ilustrowała wizerunkiem płonących banknotów – euro i dolarów. Wahed tłumaczył, że jego platforma pozwala klientom – w większości muzułmanom – inwestować w sposób zgodny z ich wiarą zabraniającą brania odsetek od kredytów. Reklama głosiła: *Pobieranie od ludzi opłat za pożyczanie pieniędzy było kiedyś nazywane wyzyskiem. Niestety, to się zmieniło i dziś odsetki spowodowały ogromną lukę majątkową, wzbogacając nielicznych, podczas gdy większość ubożeje. Dołącz do społeczności, która przenosi swoje pieniądze do bardziej sprawiedliwego systemu*. ASA odpowiada: *Rozumiemy pogląd Wahed, że reklama nie jest wymierzona bezpośrednio w żadną konkretną grupę, ale uznaliśmy, że wizerunek płonących banknotów poważnie obraża uczucia niektórych widzów*. Bóg mamony silniejszy od Allaha.

5. Mel Gibson pojechał do Teksasu, żeby wystąpić w programie Joe Rogana – cokolwiek pojebanego, a więc szalenie popularnego influencera, który w 2020 r. popierał Berniego Sandersa, ale w 2024 został wyznawcą Donalda Trumpa. Gibson pochwali się planami na sequel „Pasji": *Wymagania są wielkie, bo to jest trip na kwasie*. Film, zatytułowany „Zmartwychwstanie Chrystusa" zawiera *kilka szalonych rzeczy* – reklamował Gibson i dodał: *Myślę, że aby właściwie opowiedzieć tę historię, trzeba naprawdę zacząć od upadku aniołów, co oznacza, że jesteś w innym miejscu, jesteś w innym królestwie. Musisz pójść do piekła*. Kiedy Gibson pierdolił z Roganem w Teksasie, jego dom w Malibu spłonął do fundamentów. My się na tym nie znamy, ale może bozia sugeruje Melowi, że nie jest zadowolona z koncepcji zmartwychwstania jako *tripu na kwasie*?

Smakowite wieści z ukraińskiej armii prezentuje piórem Macieja Pieczyńskiego tygodnik „Do Rzeczy": *Jeszcze przed chrztem bojowym z nowo utworzonej 155. Brygady Zmechanizowanej „Anna Kijowska" zdezerterowało 1,7 tys. żołnierzy. Zaraz po bitwie dowódca stracił stanowisko, a jeden z oficerów odpowiedzialnych za sformowanie oddziału zmarł na zawał serca. (…) Brygada powstała w zeszłym roku, miała składać się z 4,5 tys. żołnierzy. Częściowo sformowana i wyszkolona została we Francji. Już na etapie jej formowania za granicą jej szeregi miało opuścić 50 osób.*

Dezercje nie są problemem jedynie w „Annie Kijowskiej". Tak prezentuje się ogólna sytuacja ukraińskiej armii (cytujemy za red. Pieczyńskim): *Tylko w listopadzie 2024 r. wszczęto 19 tys. nowych spraw karnych dotyczących dezercji lub samowolnego opuszczenia jednostki wojskowej. Dla porównania: w październiku takich spraw było „jedynie" 9487, a w styczniu 2024 r. – 3448. Ogółem od momentu inwazji rosyjskiej do 1 grudnia 2024 r. odnotowano 114 280 wypadków ucieczki z wojska. Do dezercji dochodzi nawet poza granicami kraju. Jak pod koniec ubiegłego roku informował „Financial Times", co miesiąc 12 ukraińskich żołnierzy ucieka podczas ćwiczeń na terenie Polski. (…) Ukraiński dziennikarz Wołodymyr Bojko szacuje, że oficjalne dane z listopada są mocno zaniżone. (…) Bojko prognozuje, że wiosną 2025 r. „armia po prostu się rozpierzchnie". W ocenie dziennikarza największym problemem nie jest dezercja, tylko „szabuning". Czyli uchylanie się od służby wojskowej w porozumieniu z dowódcami. „Szabuning" – jak wyjaśnia Bojko – jest wtedy, kiedy w plutonie formalnie jest 30 osób, a faktycznie – 12–13, bo reszta siedzi w domu. To zjawisko wyjaśnia, dlaczego z miliona zmobilizowanych na froncie realnie przebywa ok. 200–250 tys. Samo słowo „szabuning" pochodzi od nazwiska szefa Centrum Walki z Korupcją Witalija Szabunina.* A jak wiadomo, walka z korupcją idzie Ukrainie równie znakomicie, jak walka z Rosją.

Upadku rosyjskiej gospodarki usiłuje dowieść (chyba już po raz tysięczny) Maciej Nowicki z „Newsweeka", tym razem skupiając się na wzroście cen: *Dla mniej zamożnych Rosjan coraz wyższe ceny żywności kładą się cieniem na każdą wyprawę na zakupy. (…) – Trudno jest nadążyć, ponieważ osoby układające produkty na półkach nieustannie zmieniają ceny. Półki są pełne, mamy teraz masło z Turcji i Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Ale ceny są poza moim budżetem – skarżyła się pewna emerytka z Moskwy.* To tak jak w Polsce.

Straż graniczna oznajmiła, że w ostatnich tygodniach radykalnie spadła liczba nielegalnych prób przekroczenia granicy polsko-białoruskiej. Białoruska organizacja opozycyjna BYPOL podała, że powodem jest próba uspokojenia sytuacji przed zbliżającymi się wyborami prezydenckimi na Białorusi. Informację tę zaczęły na wyścigi kolportować polskie media. Tymczasem, jak poinformował na antenie Radia Białystok dowódca operacji „Bezpieczne Podlasie" gen. Arkadiusz Szkutnik, przyczyną zmniejszenia aktywności migrantów jest zastosowanie nowych środków obronnych, a konkretnie broni gładkolufowej. *Po kilkunastokrotnym użyciu broni gładkolufowej okazało się, że najbardziej agresywni migranci, kiedy widzą, że żołnierze są uzbrojeni w taką broń, nie podejmują żadnych prób agresji i jest to skuteczny element odstraszający* — tłumaczył generał. Niestety, generał nie wyjaśnił, kiedy migranci przestali być opłakiwanymi przez Donalda Tuska *biednymi ludźmi szukającymi swego miejsca na ziemi*.

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

eprasa.pl ba820e3b55

Ofiary surowej kary

Podnoszenie kar grozi nam więzieniem lub śmiercią

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Tymi, którzy dziś głoszą prawdy objawione, są prokuratorzy. Jak taki coś powie, to media spijają każdą sylabę z jego ust, a potem niosą ją w lud. Dzięki temu lud wie, że osobnik, któremu prokuratura postawiła zarzuty, jest winna. Bo przecież gdyby nie była, to żaden szanujący się oskarżyciel publiczny nie powiedziałby o niej złego słowa.

Tajemnicą współczesnego dziennikarstwa pozostaje to, dlaczego takich prokuratorskich enuncjacji nikt nie opatruje stwierdzeniem, że to, co gada oskarżyciel, to tylko to, że gada. A gada o zarzutach, bo musi, gdyż taką ma robotę. Państwo płaci mu za to, żeby sklecił dla sądu taką opowieść o oskarżonym, żeby wyglądało, że na pewno jest winny.

Sędzia sędziemu oka nie wykole

Najgorsze, że na taką gadkę łapią się nie tylko publikatory, ale i sędziowie. Szczególnie ci, którzy orzekają, czy wskazanego przez prokuratora delikwenta wpakować za kraty na trzy miesiące. Polskie statystyki pokazują, że sędziowie wnioski o tymczasowe zapuszkowanie, czyli areszt, przyklepują automatycznie. Dla mediów to widomy znak, że spostponowana przez prokuratora osoba na pewno ma coś za uszami. Inaczej przecież sędzia by się na aresztowanie nie zgodził.

Po tymczasowym trzymiesięcznym areszcie do sądu znów wędruje wniosek o przedłużenie odsiadki – o kolejny kwartał. Regułą jest, że w takiej sytuacji sędzia nawet nie czyta akt. Przyklepuje przedłużenie, bo przecież nie będzie podważał kompetencji swojego kolegi sędziego, który zgodził się na pierwszy areszt tymczasowy.

Po drugim kwartale za kratami kolejny sędzia zgadza się na jeszcze jeden, i jeszcze jeden. Potem sprawa w końcu ląduje na wokandzie. Rozpatrujący sprawę sędzia widzi, że ma do czynienia z podsądnym, który zaliczył już jakieś półtora roku odsiadki, na co złożyły się kolejne decyzje jego nieomylnych kolegów w togach. Co zatem robi, jeśli ma do czynienia z jakimś zwykłym obrońcą, a nie gwiazdą mediów lub palestry? Bez względu na dowody winy skazuje delikwenta. I jeśli widzi, że materiał zgromadzony przez policję i prokuraturę nie trzyma się kupy, a oskarżony najprawdopodobniej jest niewinny, to i tak ogłasza go winnym i wymierza karę równą dotychczasowej odsiadce zaliczonej przez podsądnego. Gdyby zawyrokował inaczej, podważyłby wszak kompetencje kolegów sędziów, a skarb państwa naraziłby na ciężką kasę, którą należałoby wypłacić niewinnie aresztowanemu w formie zadośćuczynienia i odszkodowania.

O tym, że tak działa polski wymiar sprawiedliwości, wie każdy, kto ma z nim do czynienia. Wskutek tego polskie więzienia i areszty naprawdę pełne są osób niewinnych.

Choć czasem zdarzają się cuda. Tak jak uniewinnienia skazanych przez media oskarżonych w procesach zabójstwa Ewy Tylman i oskórowanej dawno temu w Krakowie studentki.

Mimo solennych zapewnień prokuratury o niezbitości dowodów w tych sprawach obrońcy wykazali coś zupełnie innego i to w taki sposób, że sędziowie nie mogli nawet wymierzyć kary równej dotychczasowej wieloletniej odsiadce obwinionych o te zbrodnie.

Każdy jest winny

Dlaczego sędziowie niemal zawsze zgadzają się na tymczasowy areszt? Ano dlatego, że prokurator szermuje dwiema przesłankami. Pierwszą jest zagrożenie mataczeniem, a drugą – zagrożenie surowym wyrokiem. Oba te powody, gdy tylko znajdą się we wniosku o tymczasowy areszt, dają prokuratorowi niemal stuprocentową pewność, że oskarżony trafi za kratki, bo sędzia nie ma wyjścia i nawet gdy nie będzie miał ochoty na zapuszkowanie, to przepisy nie pozostawiają mu zbyt dużego wyboru i każą wniosek aresztowy podpisać.

W lutym 2023 r. adwokatura rozpisała ankietę, na którą odpowiedziało 514 mecenasów pracujących jako obrońcy i aplikantów adwokackich. Prawie 70 proc. z ankietowanych wskazało, że prawo regulujące tymczasowe aresztowanie w Polsce jest do bani. Ponad 2/3 uznało, że przepisy dotyczące środków zapobiegawczych nie są sformułowane prawidłowo. Prawie 3/4 badanych adwokatów widziało potrzebę zmiany obowiązujących przepisów.

Prof. Szymon Tarapata z Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego wielekroć mówił mediom, że przesłanka aresztowania z uwagi na surowość kary powinna być usunięta z kodeksu. *Ta przesłanka to jest samo zło* – mówił, po czym dodał: *Wielokrotnie widziałem takie postanowienia, w których sąd, idąc po najmniejszej linii oporu, stosował tymczasowe aresztowanie i nie próbował nawet uzasadniać, że są jakieś obawy, że podejrzany będzie zakłócał postępowanie, a odwoływał się tylko do zagrożenia surową karą*. Tak samo podchodzi do tego większość karnistów. I dlatego od 4 listopada leży w sejmie projekt nowelizacji kodeksu postępowania karnego przygotowany przez Naczelną Radę Adwokacką we współpracy z Helsińską Fundacją Praw Człowieka i Krakowskim Instytutem Prawa Karnego.

Pomysł wychodzi z założenia, że aresztowanie *wykracza nawet poza standardowe ramy warunków odbywania kary pozbawienia wolności*. Tymczasem nie jest ono karą, lecz ma jedynie zabezpieczać prawidłowy tok postępowania karnego. Zwłaszcza że zapuszkowanie na wiele miesięcy jest stosowane wobec osoby w świetle prawa niewinnej. Dlatego w projekcie proponuje się przy pierwszym stosowaniu tymczasowego aresztowania skrócenie go do najwyżej miesiąca. Oprócz tego projektodawcy proponują zwiększenie nadzoru sądu i adwokatury zarówno podczas aresztu, jak i w toku postępowania przedaresztowego, w którym z obligu ma brać aktywny udział obrońca. Nade wszystko jednak projekt postuluje wyeliminowanie głównych przesłanek: tej w postaci surowości kary jako podstawy stosowania lub przedłużania tymczasowego aresztowania. I tej mówiącej o abstrakcyjnej *uzasadnionej obawie* matactwa, *która jest instrumentalnie i uznaniowo wykorzystywana do uzasadniania stosowania tymczasowego aresztu*. Bo zdaniem wnioskodawców *realna obawa* powinna być wykazana dowodowo.

Projekt nowelizacji leży w zamrażarce, bo pracuje powołana przez ministra Bodnara Komisja Kodyfikacyjna Prawa Karnego. Jej działania też mają ograniczyć nadużywanie w Polsce tymczasowego aresztowania. Tyle że według niej zagrożenie wysoką karą ma zostać w kodeksie. Komisja chce więc ledwie przywrócić stan sprzed Ziobry.

Dziś bowiem sędzia, gdy widzi, że górne widełki kary za zarzucane oskarżonemu przestępstwo to ponad osiem lat odsiadki, musi się na trzymiesięczny areszt zgodzić.

Kiedyś jednak było inaczej. Zmiany w prawie, które weszły w życie w połowie 2015 r., mówiły, że sędzia, decydując o areszcie, może, ale nie musi kierować się ewentualną surową karą. Zapis ten był jednym z pierwszych, który Ziobro już w 2016 r. zmienił, uwalniając sędziów z dylematów przy decyzji o odebraniu człowiekowi wolności.

Kodyfikacyjna komisja Bodnara proponuje kosmetykę przepisu polegającą na tym, żeby zamiast ośmiu lat było zagrożenie 10 latami odsiadki. Zgadza się też z projektem prawników, że maksymalny czas trwania pierwszego tymczasowego aresztowania to góra 12 miesięcy.

Zabójstwo czyni wolnym

Kodyfikatorom nie wpadło do głowy, żeby zrobić porządek z samymi wydumanymi przez Ziobrę „surowymi karami". Za czasów PiS popodnoszono górne i dolne wymiary kar tak, że dziś niemal za wszystko grozi więcej niż – skutkujące aresztem – osiem lat pierdla. Skutek był natychmiastowy. W 2017 r. aresztowano o blisko 40 proc. więcej osób niż dwa lata wcześniej. O 20 proc. wzrosła liczba aresztów trwających od pół roku do roku. A liczba zatrzymań dłuższych niż dwa lata wzrosła o 40 proc.

Przewidziane w kodeksach kary rosły. Dziś mamy więc taką sytuację, że nie ma już osobnej najwyższej kary więzienia, czyli 25 lat pozbawienia wolności. Z 15 lat do lat 30 wzrosła bowiem górna granica odsiadki. Ba, sąd może też wymierzyć dożywocie, i to nawet bez możliwości ubiegania się o wcześniejsze warunkowe zwolnienie.

Za pedofilię idzie się siedzieć nawet na 30 lat, za gwałt – na tyle samo. A jeśli następstwem gwałtu będzie ciężki uszczerbek na zdrowiu – na dożywocie. Wobec recydywistów obowiązuje podniesienie jej dolnych i górnych widełek o połowę. Za rozbój – 15 lat. Za rozbój z użyciem broni – do 20 lat więzienia. Za umyślne spowodowanie ciężkiego uszczerbku na zdrowiu tyle samo. 10 lat dostaje ktoś, kto dokona wymuszenia mienia, stosując szantaż. Za przyjęcie zlecenia zabójstwa – 15 lat. Tyle samo za przygotowanie do zabójstwa.

Żaden minister czy rządowy prawnik o zmianie tej chorej polityki nie wspomniał i nie wspomni. Politycy naraziliby się wyborcom, którzy, nie mając pojęcia, jak działają kary, domagaliby się najchętniej kary śmierci.

Potem zwolennicy czapy dziwią się, że ktoś kogoś przejechał i uciekł, nie udzielając pomocy. A co miał zrobić? Wypił trochę u mieszkającego trzy kilometry od niego szwagra i uderzył w kogoś idącego poboczem. Wiedział, że

za jazdę po pijaku bez prawa jazdy wsadzają do więzienia nawet na 12 lat. A za ucieczkę z miejsca wypadku też jest 12 lat. Wybór dla takiego kierowcy jest prosty: nie ma co pomagać, tylko uciekać, bo a nuż się uda.

Gwałciciel, który machaniem noża i klapsem zmusił jakąś panią do uległości, dokonał gwałtu kwalifikowanego z użyciem niebezpiecznego narzędzia, a na dodatek ze szczególnym okrucieństwem, za co grozi 30 lat odsiadki. Tyle samo co za zabójstwo, za które nie pójdzie siedzieć, gdy pozbędzie się świadka, czyli zgwałconej. Przy takim wyborze woli zabić.

Pedofilowi zagrożenie surową karą też każe mordować. Za zgwałcenie dziecka grozi nawet dożywocie, tyle samo, co za zaciśnięcie dłoni na jego gardle, co uniemożliwi małolatowi sporządzenie portretu pamięciowego. Żeby pedofil był wolny, a społeczeństwo usatysfakcjonowane wysoką karą, dzieciak musi umrzeć.

Prawdziwy strach wśród osadzonych wzbudzają ci z dożywociem bez możliwości ubiegania się o zwolnienie. Co im można zrobić, gdy potraktują szpikulcem współwięźnia albo klawisza? Skoro i tak nie mają na nic nadziei, a wyższa kara ich nie spotka, to kto zabroni im mordować?

Kto by tam jednak słuchał ekspertów od przestępczości, że remedium na bezpieczeństwo publiczne nie jest wymyślanie srogich sankcji, ale łapanie kryminalistów. Nie wysokość kary bowiem, ale świadomość nieuchronnej wpadki powoduje, że bandziorowi nie opłaca się być bandziorem, mordercy mordercą, a gwałcicielowi gwałcicielem. Surowość kary sprawia, że w aresztach roi się od niewinnych, za których potem jako podatnicy płacimy odszkodowania. Surowość kary może też spowodować, że zamiast być żywą ofiarą przestępstwa, w imię surowego karania staniemy się zwłokami.

TADEUSZ JASIŃSKI

REKLAMA

eprasa.pl ba820e3b55

Motywowanie sportowców do wysiłku trudno przecenić. Ale jak to robić?

Na słownym dopingu

Rys. BARTŁOMIEJ BELNIAK

Przy sportowcach pracują armie psychologów. Na temat motywowania zawodników i wyrabiania w nich tzw. cech wolicjonalnych napisano tomy rozpraw naukowych. Nie lekceważę pracy psychologów. Coraz więcej wyczynowców przekonuje się do słuszności ich porad, a trenerzy przestają ich traktować jak dziwaków, bo widzą, że dzięki mądrej współpracy da się osiągać lepsze wyniki.

Krzyki i gesty

Żaden szkoleniowiec nie zrezygnuje jednak z motywowania swoich podopiecznych podczas zawodów. Nikt ich w tym nie zastąpi. Ponieważ zamierzam o tym pisać, nie obędzie się bez słów wulgarnych i nieprzyzwoitych, przed którymi ostrzegamy nad winietą naszego dziennika cotygodniowego.

Każdy kibic piłki nożnej widzi, jak przy linii bocznej trenerzy krzyczą do swoich zawodników, często przy tym gestykulując. Trzeba było wydzielić dla nich specjalne prostokąty, w których mają prawo przebywać, bo wcześniej wpadali na siebie i dochodziło nawet do rękoczynów. Do najefektowniejszych aktorów za boczną linia piłkarskiego boiska należą Argentyńczyk Diego Simeone od 15 lat prowadzący drużynę Atlético Madryt i Włoch Antonio Conte. Biada komuś, kto wejdzie im w drogę, a sędzia boczny narażony jest na nieustające ataki. Tacy trenerzy zawsze mają rację, a ich piłkarze nigdy nie faulują. Przeciwnie, to oni są faulowani.

Diego Simeone ma trzech synów: Giuliana, Giovanniego i Gianlucę. Wszyscy grają w piłkę na wysokim poziomie w różnych klubach, umiejętności pedagogiczne ojca są więc chyba skuteczne. Córka Valentina też gra, ale w filmach, poszła w aktorstwo. Po ojcu odziedziczyć można nie tylko talent piłkarski, także aktorski.

Za moich młodych lat, gdy zaczynałem pisać w „Przeglądzie Sportowym", aż tak impulsywnych szkoleniowców jak Simeone i Conte nie było wielu. Wystarczy przypomnieć sobie naszego legendarnego Kazimierza Górskiego. Zawodnicy opowiadali mi, że najważniejsza porada taktyczna trenera przed meczem brzmiała: *Macie z wiatrem – grajcie górą, macie pod wiatr – grajcie dołem*. I drużyna zajęła trzecie miejsce w mistrzostwach świata.

Szkicowanie w kucki

Przeciwieństwo piłkarskich trenerów miotających się przy bocznej linii stanowi Rosjanin Leonid Słucki. On nie krzyczy, nie biega, nie gestykuluje, kiwa się na ławce rezerwowych jak Żyd w synagodze i patrzy na boisko. Zapewne swoimi przemyśleniami dzieli się dopiero w szatni.

Nie śledzę rosyjskiego futbolu i nie wiem, co teraz dzieje się z Leonidem Słuckim. Kiedyś był w swoim kraju bardzo cenionym szkoleniowcem, prowadził CSKA Moskwa i reprezentację Rosji. Później wyjechał do Anglii i Holandii, ale tam mu się nie powiodło. Zapewne bardziej cenią impulsywnych szkoleniowców. Ostatnia informacja, jaką znam, to fakt objęcia przez Słuckiego piłkarzy Rubina Kazań.

Argentyńczyk Marcelo Bielsa, obecnie trener reprezentacji Urugwaju, uważany jest za jednego z najlepszych teoretyków futbolu. Teoria swoją drogą, praktyka – swoją. Ani z włoskim SSC Lazio, ani z francuskim Lille OSC, ani z angielskim Leeds United FC, ani z reprezentacjami państw południowoamerykańskich wielkich sukcesów nie odniósł. Ten dla odmiany zwykł oglądać mecz w milczeniu, kucając przy linii bocznej albo siedząc na pojemniku z napojami. Widocznie w ten sposób może najlepiej szkicować sobie w głowie plan rozgrywki.

Bielsa zasłynął w Leeds United rzadko spotykanym gestem fair play. Mateusz Klich zdobył dla jego drużyny bramkę przeciw Aston Villi, gdy jeden z przeciwników leżał kontuzjowany na boisku. Bielsa kazał swoim chłopakom oddać tego brudnego gola. Gest piękny, ale czy motywujący do walki? W każdym sporcie liczy się tylko zwycięstwo. Tego nie odnoszą grzeczne dziewczynki i chłopcy. Trzeba walczyć.

To, co dzieje się podczas spotkania piłkarskiego, jest tylko częścią spektaklu. Najważniejsze przemowy motywacyjne odbywają się w szatni przed meczem i podczas przerwy.

Do szatni nie są wpuszczani ani dziennikarze, ani kamery telewizyjne. Polegać można tylko na relacjach samych zawodników. Ponoć metody motywacyjne słynnego trenera Manchesteru United sir Alexa Fergusona były bezwzględne. Jeśli ktoś grał nie tak, jak chciał trener, dostawał „suszarkę". Szkot krzyczał na niego, zbliżając twarz do twarzy (widzimy to czasem w amerykańskich filmach pokazujących wojskowe szkolenie rekrutów), a winowajcę zalewała fala gorącego powietrza płynąca z ust szkoleniowca. Stąd nazwa całej procedury.

Nieżyjący już trener Janusz Wójcik zdobył z polską reprezentacją srebrny medal olimpijski w Barcelonie (1992 r.). Jego przemowy w szatni przeszły do legendy. Nie potrafię już przytoczyć ich dokładnie, pamiętam tylko, że zwykł je kończyć okrzykiem: *Kiełbasy do góry i walczymy!*

Przypływ energii

I mnie zdarzyło się wystąpić w roli motywatora sportowca. Było to dość dawno temu, gdy w wozie prasowym z notesem w ręku podążałem za kolarskimi peletonami. Dziennikarz ma obowiązek być neutralnym obserwatorem. Złamałem tę zasadę podczas jakiegoś niedużego wyścigu rozgrywanego w wyłącznie krajowej obsadzie. Kiedyś były ich tysiące. Dziś są rzadkością, co może stanowić jedną z odpowiedzi na pytanie, dlaczego nasze kolarstwo ma się tak kiepsko.

Kolarz ów przed etapem jazdy indywidualnej na czas poprosił, żebym wsiadł do wozu technicznego, który za nim jechał, i przez cały dystans krzyczał na niego. Chodziło o to – wyjaśnił – że wszystkie osoby z jego zespołu wsiadły do innych wozów technicznych, on został bez asysty, a lubi, żeby z wozu technicznego ktoś go motywował do większego wysiłku.

– No dobrze – zgodziłem się. – Tylko jak mam to robić? Jeszcze nigdy nie motywowałem żadnego kolarza.

– To bardzo proste, redaktorze – wyjaśnił. – Proszę od startu aż do mety wyzywać mnie najgorszymi słowami. Takimi jak chuj, skurwysyn, chyba nie muszę redaktora uczyć.

Nie, nie musiał. Znam bardzo wiele podobnych słów. Nawet bardziej wymyślnych niż te, które proponował zawodnik. Przez kilkadziesiąt minut wychylałem się przez okno samochodu i wołałem: – Nie opierdalaj się, sukinsynu, oczko niżej i ciśnij, bo cię za metą zajebię! I temu podobne.

Co ciekawe, kolarz posłusznie przerzucał łańcuch na niższy tryb i mocniej naciskał na pedały.

Trochę zdarłem sobie gardło, ale miałem satysfakcję, bo zawodnik bardzo mi dziękował, jako że osiągnął wcale dobry wynik.

Wówczas przekonałem się osobiście, jak ważne jest motywowanie zawodnika, i już się nie dziwię, słysząc, gdy czasem trenerzy wydzierają się na swoich podopiecznych. Nie znaczy to, że muszą być wulgarni. Ja działałem na wyraźne życzenie zawodnika. Za metą stwierdził, że gdy usłyszał z wozu technicznego: *Chuj ci śmiertelny w oko, ty leniu*, poczuł nagły przypływ energii. Nie obraził się – przeciwnie, poczuł wdzięczność.

Dojenie krów

Były trener reprezentacji Polski siatkarek Jacek Nawrocki zwymyślał kiedyś zespół bez jednego nieprzyzwoitego słowa. Stwierdził, że dziewczyny stoją na boisku jak do dojenia krów. To wystarczyło, żeby zawodniczki się obraziły, tym bardziej że telewizyjny mikrofon wychwycił te słowa i miały wstyd na cały kraj. Jakiś czas później wystosowały apel do prezesa siatkarskiego związku z żądaniem zwolnienia szkoleniowca. Chodziło o poważniejsze sprawy związane z treningami i taktyką, ale słowa o dojeniu krów także zostały w liście przywołane. Prezes początkowo ani myślał spełniać postulat zawodniczek, bo one – jego zdaniem – są od odbijania piłki, a nie od pyskowania, ale w efekcie Jacek Nawrocki nie utrzymał się na stanowisku. Prezes zresztą także. I bardzo dobrze.

Nowy prezes PZPS Sebastian Świderski, którego jestem wielkim fanem, zrobił w kobiecej siatkówce porządek. Zatrudnił wybitnego włoskiego szkoleniowca Stefano Lavariniego, a ten w dwa sezony z europejskiego średniaka – i to raczej z dolnej połówki średniaków – zrobił zespół, którego bać się może każda drużyna na świecie. Polki awansowały zresztą do igrzysk olimpijskich w Paryżu i zajęły w nich najlepsze miejsce od 1968 r.

Z zawodniczkami Lavarini porozumiewa się po angielsku, natomiast z tymi, które występują na Półwyspie Apenińskim – w rodzinnym języku. O dojeniu krów raczej nie rozmawia. Przerwy w grze wykorzystuje na uwagi taktyczne lub pozwala, żeby zawodniczki same ze sobą pogadały. Rzadko podnosi głos, ale miny, które robi za linią boczną boiska, mogą bardziej przestraszyć niż najordynarniejszy krzyk.

Przypomniała mi się przemowa podczas przerwy rodaka Lavariniego, który z powodzeniem prowadzi drużynę ŁKS Łódź. Alessando Chiappini to wybitny fachowiec i kulturalny człowiek. Gdy jego zawodniczki w meczu (już nie pamiętam którym) zaczęły psuć grę, poprosił o przysługującą mu przerwę i energiczną przemowę w języku angielskim zakończył słowami zrozumiałymi dla wszystkich siatkarek, a także telewidzów: *Kurwa mać!*

Motywowanie w siatkówce ma szczególne znaczenie, bo ta gra wymaga stałej koncentracji, a nawet moment rozluźnienia natychmiast znajduje odbicie na tablicy wyników. Przemowa motywacyjna przyjmującego reprezentacji Tomasza Fornala podczas półfinałowego meczu igrzysk olimpijskich w Paryżu przejdzie do historii polskiego sportu. Znów wszystko wychwyciły telewizyjne mikrofony.

Z Polakami było już bardzo źle. Przegrywali z drużyną USA 1:2, a w czwartym secie rywale zaczęli im uciekać. Podczas przerwy na żądanie naszego szkoleniowca głos zabrał właśnie Fornal. Zawołał do kolegów: *Dawać, kurwa, napierdalać się z nimi, kurwa!* Podziałało. Nasi wygrali seta, a w tie-breaku pokazali prawdziwy koncert siatkówki. Dzięki temu w finale zagrali z Francuzami, z którymi jednak przegrali. Może zabrakło odpowiedniego motywatora?

Sport się zmienia. Robert Lewandowski jest – można tak powiedzieć – nestorem wśród fantastycznych młodzików FC Barcelony. Mówi, że

obecna młodzież w sporcie nie lubi krzyków, które były powszechne, gdy on uczył się kopać piłkę. Lepiej dociera do nich nauka, gdy się z nimi spokojnie rozmawia.

No ale podczas meczu na pewno pada niejedno twarde słowo, przed którym ostrzegamy nad winietą naszej gazety. Nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 15.01.2025 r.

eprasa.pl ba820e3b55

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Marcin Mastalerek nie był bałwanem, chociaż czasem tak wyglądał. Zdawał sobie sprawę, że polityczny koniec Dudy będzie również jego końcem. Tylko że prezydent będzie mógł pójść na za wczesną emeryturę, a on, Mastalerek?

Wydawało się, że posada w Emkaolu dla Dudy będzie sposobem na przetrwanie – jako asystent członka Mastalerek wychodziłby na swoje, zwłaszcza finansowo. Ale Emkaol zwarzył się jak zupa zabielana śmietaną.

Mastalerek nie miał czego szukać w Pisie. Po tym, jak nawrzucał Kaczyńskiemu, nie dostanie ani złotego, ani żadnego innego partyjnego spadochronu. Zresztą czy Pis w ogóle przetrwa? I jak długo?

Duda mógłby założyć własną partię, lecz się do tego nie palił. „Po co mi ten stres?" – pytał, a w odpowiedzi krzywił się jak po zjedzeniu cytryny. Po to, żebym miał co w życiu robić – powinien był odpowiedzieć Mastalerek, ale się powstrzymał.

Jeszcze do niedawna nadzieję na przyszłość Dudzie – oraz, ma się rozumieć, Mastalerkowi – dawał Trump. „Don't worry, my friend" – mówił, gdy potrzebował wsparcia podczas kampanii wyborczej, a teraz? Nawet na inaugurację prezydentury nie zaprosił, dziad jeden!

A Mastalerek tyle dla Trumpa zrobił… Choćby ten ostatni numer z listem Dudy w sprawie gwarancji dla Netanjahu… Załatwione? Załatwione, ale co z tego?

Przecież nie będę szukał azylu w Izraelu – zaśmiał się gorzko Mastalerek.

A na Węgrzech?

Na Węgrzech też nie – odpowiedział sobie w myślach.

Mastalerek nie był bałwanem, mógłby założyć firmę piarową i doradztwa personalnego. Tylko kto da mu tyle zleceń, żeby żył na poziomie, do jakiego się przyzwyczaił? Aby utrzymać się na powierzchni wolnego rynku, trzeba się ciężko napracować, a on od pracy odwykł. Mógł czynić wysiłki dla władzy, niestety władzę dostał na czas określony, a termin rozwiązania umowy nadchodził wielkimi krokami.

– Ostra depresja – usłyszał, gdy niedawno podzielił się tymi refleksjami ze znajomym lekarzem. – Mogę ci przepisać różowe pigułki szczęścia. Nie uzależniają i na Enefzet są za darmo.

– Na jak długo pomogą? – zapytał Mastalerek, choć znał odpowiedź.

Zaprzyjaźniony propagandysta, który udawał dziennikarza, zaproponował mu przed tygodniem, że gdyby po wyborach nie miał co robić, a miałby ochotę na zarobienie trochę kasy, to mógłby wziąć udział w turnieju emema.

– A co to jest?

– *Mixed martial arts*, czyli mieszane sztuki walki. Trzy rundy po trzy minuty w oktagonie. Kasę dostajesz zarówno za zwycięstwo, jak i za porażkę, z czym chyba musisz się bardziej liczyć. No to co, wchodzisz w to?

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA jest pod wrażeniem genseka Kulaska na etacie ministra nauki. **JOANNA SENYSZYN** sądzi, że jednak przebija go list żelazny Tuska dla Netanjahu. Dwie stare malkontentki.

Wołk-Łaniewska: – Z jednej strony Wieczorek był magister inżynier, a tu mamy doktora. I wiceministrzycę też doktorzycę.

Senyszyn: – Ale w ślad za Wieczorkiem poleciał podwieczorek Gdula, a on jest doktor habilitowany, więc bilans wychodzi na zero.

– Nie tylko w masie tytularnej, jak się okazuje. Przewodniczący Czarzasty, ogłaszając tę odważną nominację, poinformował, że – tu cytat – *te dwie osoby gwarantują dwie bardzo ważne sprawy. Pierwsza to kwestia silnej pozycji politycznej szefa tego resortu. Dr Kulasek jest sekretarzem Nowej Lewicy, ma bardzo silną pozycję polityczną, nie muszę mówić, co to znaczy silna polityczna pozycja w rządzie – również dla środowiska, którym będzie kierował pan Marcin Kulasek…*

– Sam Czarzasty ma beznadziejnie słabą pozycję polityczną, czego dowodzi wymuszona przez Tuska dymisja Wieczorka, którego – przypominam – Czarzasty bronił jak lew. Skoro nie wybronił, znaczy już całkiem wyleniały. I w dodatku trzeba mieć móżdżek Czarzastego, żeby myśleć, że minister nauki kieruje uczonymi.

– On generalnie ma mentalność kierownika. Głównie szatni. Ale to wyznanie – że Kulasek został ministrem, bo ma partyjne plecy – nawet nieco mnie ujęło bezpretensjonalną szczerością. I już dokładnie widać, że przyczyna tej nominacji jest taka sama jak w przypadku Wieczorka: znaczy zasługi wobec szefa. Wieczorka nazywaliście w klubie poselskim Masażystą, a Kulaska?

– Kulaskiem. Z takim nazwiskiem ksywa niepotrzebna. Czarzasty chciał go na sekretarza partii, bo wiedział, że to tylko wykonawca poleceń, nigdy mu nie podskoczy i go nie wysiuda, jak kiedyś Napieralski Olejniczaka. A druga sprawa?

– Jaka druga?

– Cytowałaś Czarzastego: *że te dwie osoby gwarantują dwie bardzo ważne sprawy.*

– Jaka była druga, nie powiedział, zatrzymał się na plecach Kulaska. Może zapomniał, on jakiś roztargniony ostatnio. Nawiasem mówiąc: nie martwi cię, jak marnie Włodzio wygląda?

– Zawsze marnie wyglądał z tym ciążowym brzuchem odzianym w jaskrawe sweterki. A ciebie martwi?

– Owszem. Bo ja bym chciała, żeby go kongres wyjebał z hukiem, za całe zło, które wyrządził lewicy, a nie żeby odszedł ze względu na zły stan zdrowia jak sekretarze KC. O nowym kierownictwie resortu mówił jeszcze, że *pani doktor Karolina Zioło-Pużuk jest związana ze środowiskiem naukowym przez 20 lat, a przez 5 lat robiła doktorat w Anglii.* Jako nieukowi może nie wypada mi tego mówić – ale jak ktoś pracuje naukowo przez 20 lat, to może powinien mieć coś więcej niż doktorat?

– No i ma! Urodziła dzieło: „Szczęść Boże! Skrypt do nauki języka polskiego jako obcego dla osób duchownych i zakonnych".

– Żartujesz sobie ze mnie?

– Chciałabym. Ale spoko, wiceministrą nauki będzie nie ze względu na kompetencje, ale na męża Jacka Pużuka, który jest wierny Czarzastemu jak Wieczorek i Kulasek. Widocznie było im jeszcze za mało, że ona po polonistyce została wiceszefową Kancelarii Senatu, a on w ramach kolesiowskiego obsadzania spółek skarbu państwa – prezesem Warszawskich Zakładów Mechanicznych PZL-WZM.

– Nie gadaj. Ona ma wszelkie dane do bycia lewicową wiceministrzycą nauki, bo jest prodziekanicą czegoś tam na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Czyli – przypomnijmy tym, którzy mieli szczęście zapomnieć – Akademii Teologii Katolickiej rozdętej do rangi uniwersytetu za państwowe pieniądze.

– To może i biskupi chcieli ją mieć w ministerstwie. Wracając wszakże do większego skandalu: najpierw odleciał Duda, a zaraz potem zwariował rząd Tuska. Widocznie to zakaźne. I wespół w zespół postanowili dać Netanjahu gwarancję bezpieczeństwa podczas jego ewentualnej wizyty w Polsce wbrew nakazowi aresztowania wydanemu przez Trybunał w Hadze. To kompromitacja Polski i zarazem istna paranoja. Rok temu koalicja 15P oburzała się, że Duda daje schronienie przestępcom Kamińskiemu i Wąsikowi. Wciąż krytykuje węgierski azyl Romanowskiego. A teraz obiecuje chronić polityka słusznie oskarżanego o śmierć tysięcy Palestyńczyków. Podobno nie należy dopatrywać się złej woli tam, gdzie rzecz można wyjaśnić głupotą. Czyżby rządzili nami idioci?

– Czy dzik sra w lesie?

– Słucham?

– Tak młodzież odpowiada na pytanie, które uważa za oczywiste.

– Może pora na wybory nie tylko prezydenckie.

– Może. Acz z drugiej strony – teraz pewnie oznaczałoby to rządy PiS z Konfederacją. Więc chyba warto chwilę poczekać, może się wygeneruje jakaś dorzeczna lewica. Bo póki co obie są gówno warte. Nawet nie wiem, która bardziej. I na kogo ja mam głosować? Może ty se zakandydujesz?

– A żebyś wiedziała.

– Yyyy…

– Co to niby ma znaczyć?

– Że mi mowę odjęło. Ja tak retorycznie pytałam trochę.

– A ja nieretorycznie odpowiedziałam. I co ty na to?

– Zajebiście! Wreszcie będę mogła na kogoś zagłosować z pieśnią na ustach. Bo jak patrzyłam na tę stawkę, to rodziło się we mnie nieposłuszeństwo obywatelskie.

– Nie tylko w tobie. Kobiety, młodzi, LGBT+, zwolennicy świeckiego państwa i inni – jak my – malkontenci mówią w badaniach, że nie mają na kogo głosować, bo są wprawdzie zdecydowanie antypisowscy i wybrali koalicję 15P, ale się rozczarowali i mogą w ogóle nie pójść na wybory.

– Szczere wyznanie senatora Schetyny, że trzeba domknąć system prezydentem, raczej nie pomaga w podjęciu decyzji o głosowaniu na Trzaskowskiego. Domknięty system zawsze się źle kończył – czy to był Komorowski & Tusk, czy Duda & Morawiecki…

– Czy Kaczyński & Kaczyński.

– Dokładnie. Tylko w przypadku Kwaśniewskiego i kolejnych premierów z SLD ten mechanizm nie zadziałał, ale Kwaśniewski nigdy się specjalnie nie przejmował lojalnością wobec swojego środowiska politycznego. Dopiero na starość mu się zrobiło inaczej. Ja z zasady głosuję na kohabitację, bo politycy to za wielkie ścierwa, żeby jakiejś formacji powierzać władzę w całości, ale raczej trudno mi sobie wyobrazić głosowanie na Nawrockiego – faceta, który zrobił karierę zawodową na kłamaniu o Polsce Ludowej. Postuluję zatem, żebyś weszła do drugiej tury. Choć program minimum masz niespecjalnie wygórowany – żeby przebić Ogórka i Biedronia wystarczy 2,5 proc. A nie zapominajmy, że w wyborach prezydenckich często pojawia się czarny koń.

– Jeśli się trzymamy feminatywów, to pora na czarną klacz. Ale do głosowania jeszcze kilka miesięcy. Teraz owszem, ze śpiewem na ustach, ale przede wszystkim w podskokach trzeba zebrać 150 tysięcy podpisów pod moją kandydaturą i coś na kampanię. PO wyda 30–40 mln, PiS pewnie tyle samo. 3D i Czarzaści pewnie po kilka milionów albo i więcej.

– Kamala Harris zebrała i wydała półtorej dużej bańki papieru, udowadniając, że pieniądze to nie wszystko…

– Mleczko mówił, że trzeba mieć jeszcze nieruchomości, złoto, dzieła sztuki, papiery wartościowe…

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

DĄBROWSKI RYSUJE

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl ba820e3b55